

Raymond F. Jones

Wilcze szczenięta

(Cubs of the Wolf)

Astounding, November 1955

Ilustracje: Rogers

Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Oryginał tekstu i ilustracje zaczerpnięto z wydania Projektu Gutenberg.

© Public Domain

This text is translation of the novelette "Cubs of the Wolf" by Raymond F. Jones, published by Project Gutenberg, September 6, 2007 [EBook #22526].

According to the included copyright notice:

"This etext was produced from Astounding Science Fiction November 1955. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed."

It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with no restrictions whatsoever.



Może tak się przydarzyć, że broń, z punktu widzenia tych przeciwko którym została użyta, jest gorsza niż śmiertelna. Jeżeli, powiedzmy, przyjmiemy że śmierć mnoży kogoś przez zero, to jaki efekt przynosi mnożenie przez wartość minus jeden?

I

Wiosną powietrze na kampusie Solarian Institute of Science and Humanities jest wręcz przesycone zapachem kwiatów wiśni. Cameron Wilder leżał sobie na plecach na niewielkim nasypie, otaczającym tereny parkowe, wpatrując się zmrużonymi oczyma w niebo, przez chmurę różowo-białych płatków. Siedząca obok niego Joyce Farquhar zirytowanym ruchem przyciągnęła do siebie kurtkę. Ciągłe było za zimno, żeby siedzieć na trawie, ale Cameron zdawał się tego w ogóle nie zauważać -- tak samo zresztą jak jeszcze wielu innych rzeczy, pomyślała kwaśno Joyce.

– Jeżeli nie przedstawiś teraz tematu swojej rozprawy – powiedziała, – to obrona twojego doktoratu, będzie musiała opóźnić się o całe sześć kolejnych miesięcy. Czasami wydaje mi się, że naprawdę ci na nim nie zależy!

Cameron poruszył się. Przesunął spojrzenie zmrużonych oczu z nieba na Joyce, a w końcu podniósł się i usiadł. Ale kiedy wyciągnął z kieszeni fajkę i zaczął ją powoli nabijać, znowu wpatrywał się w niebo, przez drzewa.

– *Nie chcę go, jeżeli to, że otrzymam doktorat, nic nie będzie znaczyło* – odparł wojowniczo. – *Nie będę robił badań nad żadnym głupim tematem, w rodzaju Wahania Imigracji z Wenus w Związku z Cyklem*

Marsjańskich Polarnych Czap Lodowych. Solariańscy socjolodzy są już obecnie przedmiotem wystarczającej śmieszności. Po zrobieniu czegoś takiego, przez resztę życia musiałbym padać na kolana, za każdym razem kiedy ktoś zapytałby mnie o specjalność, w której pracowałem, i zagroziłby przeczytaniem mojej rozprawy.

– Nikt nie prosi cię o zrobienie czegoś, czego nie chcesz zrobić. Ale *ty sam* wybrałeś sobie socjologię jako obszar pracy. A teraz nie rozumiem, dlaczego musisz zachowywać się jak jakiś purysta, któremu całe miesiące zabiera znalezienie projektu badawczego, dla zdobycia stopnia naukowego. Coś w końcu wybierz -- cokolwiek! -- nie obchodzi mnie, co to będzie. Ale jeżeli nie zdobędziesz stopnia i stanowiska, do czasu następnej sesji, nie wydaje mi się, byśmy kiedykolwiek mogli się pobrać... nie wydaje mi się.

Cameron precyzyjnym ruchem wyciągnął fajkę z ust i zaczął jej się uważnie przyglądać, kiedy leżała mu w dłoni.

– Cieszę się, że przed chwilą wspomniałaś o małżeństwie – powiedział w końcu. – Właśnie sam miałem o tym z tobą porozmawiać.

– No nie, nie mów! – zawołała Joyce. – Po trzech latach... Trzech latach!

Odwrócił się twarzą do niej i po raz pierwszy się uśmiechnął. Lubił od czasu do czasu się z nią podroczyć, tak, by widzieć jak wybucha gniewem, ale nie zawsze był pewny, czy w danym przypadku nie zaszedł za daleko. Joyce miała mózg funkcjonujący jak błyskawicznie, swobodnie kojarzący kalkulator, podczas gdy on działał bardziej na bazie powolnego, uważnego kształtowania analogowego, widząc rzeczy nie do końca tak, jak mogłyby się wydawać, ale próbując otrzymać tak bliską aproksymację ich prawdziwego obrazu, jak to tylko było możliwe.

– A czy wyszłabyś za mnie teraz?

Pytanie nie zdawało się jej zaskakiwać.

– Nie masz stopnia, nie masz stanowiska -- i żadnej szansy na jego otrzymanie -- nawet nie moglibyśmy dostać licencji. Mam nadzieję, że nie sugerujesz, byśmy spróbowali pobrać się bez niej, albo na podstawie jakiejś fałszywki!

Cameron pokręcił przecząco głową.

– Nie, kochanie, to jest propozycja absolutnie w dobrej wierze, razem z licencją, stanowiskiem, posadami... co na to powiesz?

– Powiem, że chyba to wiosenne słońce, było trochę za mocne dla ciebie. – Dotknęła ciemnej masy jego włosów, rozgrzanych w promieniach wiosennego słońca, a następnie położyła mu głowę na ramieniu. Zaczęła płakać. – Nie drażnij się ze mną w taki sposób, Cameron. Wydaje mi się, jakbyśmy czekali już przez wieczność... i ciągle dalej mieli wieczność przed sobą. Nie możesz robić wszystkiego, co ci się podoba...

Cameron objął ją rękoma, nie dbając o to, że wszyscy pracownicy Instytutu mogą w tej chwili wychylać się przez okna, aby ich obserwować.

– To właśnie dlatego powinnaś docenić perspektywę rychłego poślubienia takiego zaradnego faceta – powiedział delikatniejszym tonem. A potem zrezygnował z dalszych żartów. – Myślałem o tym, już od czasu

kiedy tylko sprawa się pojawiła. Z tego właśnie powodu, zdecydowałem się ustrzelić kilka zajęcy jednym strzałem.

Joyce wyprostowała się.

– Chyba nie mówisz poważnie... ?

Cameron jeszcze raz pociągnął ze swojej fajki.

– Czy słyszałaś może kiedyś o Jądrze Markowiańskim? – oznajmił z zamyśleniem.

Joyce powoli skinęła głową.

– Och wydaje mi się, że ktoś, gdzieś wspominał tę nazwę – wymamrotała, – ale nic więcej.

– Poprosiłem o to, jako o mój projekt badawczy.

– Ale to jest zupełnie poza galaktyką -- w Transpace!

– Tak, i oczywiście poza granicami zwykłego badacza ze stopniem magistra. Ale ponieważ zgodnie z moimi studenckimi rejestrami jestem zdolny do takiego lotu, zaryzykowałem i złożyłem wniosek o grant do Fundacji Corninga. Oni zaś zdecydowali się zaryzykować względem mojej osoby, po szczegółowym i nie do końca bezbolesnym sprawdzeniu. Właśnie dlatego przez miesiąc byłaś dokładnie śledzona, jak podejrzana Dyzjojalistka. Moje zgłoszenie obejmowało także klauzulę dotyczącą ciebie, zgodnie z którą miałabyś lecieć razem ze mną, jako moja żona. Profesor Fothergill zawiadomił mnie dzisiaj rano, że stypendium zostało mi przyznane.

– Cam... głos Joyce brzmiał w tej chwili bardzo krucho. – Nie robisz mnie w konia?

Ponownie wziął ją w ramiona.

– Kochanie, czy myślisz, że próbowałbym cię oszukać, w takiej sprawie jak ta? Za tydzień będziesz panią C. Wilder, i zaraz jak tylko skończy się semestr, będziemy w drodze do Jądra Markowiańskiego. A poza tym, przygotowanie prospektu badawczego, kosztowało mnie niemal tyle pracy, ile przeciętny gość włożyłby w cały swój projekt!

Czasami Joyce Farquhar żałowała, że Cameron nie był zupełnie inny, niż był. Ale wtedy nie byłby Cameronem, a ona nie chciałaby za niego wyjść, jak sądziła. A pomimo, że zazwyczaj na półmetku był gdzieś daleko z tyłu, to w jakiś sposób, zawsze zdołał w końcu dobiec do mety razem z resztą stawki. Albo nawet troszeczkę przed pozostałymi.

Albo całkiem sporo przed nimi. Tak jak teraz. Uświadomienie sobie wielkości wyczynu, którego tak naprawdę dokonał, zajęło jej kilka chwil. Przez całe tygodnie była w depresji, ponieważ odmawiał wykonania jakichś trywialnych, nieistotnych badań, tylko po to, aby zdobyć swój stopień doktorski. Gdyby ustawił się jako prawdziwy pewniak bez ambicji, mógłby rozpocząć je już co najmniej rok temu, i teraz mogliby być już po ślubie.

A teraz i tak mieli się pobrać -- a Cameron zdołał otrzymać umowę na badania, zaspokajającą jego szaleńcze pragnienie uczciwości, w świecie, w którym tak niewiele się ona liczyła, oraz pragnienie udziału w czymś, co

naprawdę mogło się przyczynić do socjologicznego zrozumienia fenomenu pewnych istot myślących.

Ich ślub, jako absolutnie zwyczajny, miał być sprawą zupełnie rutynową. Telefon do biura licencyjnego, potwierdzenie formalnej aprobaty przesłane pocztą -- przypuszczała, że Cameron już złożył odpowiedni wniosek -- a potem małe przyjęcie, w towarzystwie paru najbliższych przyjaciół w miasteczku akademickim. Szkoda, że nie żyła w czasach, kiedy małżeństwo było czymś o tyle łatwiejszym do zawarcia, za to czymś robiącym dużo większe zamieszanie w otoczeniu.

Poruszyła się i usiadła prosto, rozluźniając kurtkę, ponieważ słońce wyszło spoza jakiegoś wiszącego na niebie obłoczka.

- Mogłeś powiedzieć mi o tym już dawno temu, co? - stwierdziła oskarżycielskim tonem.

Cameron skinął głową.

- Rzeczywiście, mogłem. Ale nie chciałem wzbudzać w tobie fałszywych złudzeń. Ja sam, tak prawdę mówiąc, nie miałem zbyt wielkich nadziei, że ta sprawa naprawdę przejdzie. Myślę, że w dużej mierze, jest to zasługa Fothergilla.

- Transpace... - powiedziała Joyce rozmarzonym głosem. - Opowiedz mi o Jądrze Markowiańskim. A przynajmniej, dlaczego ono jest aż tak istotne, aby mogło stać się tematem opracowania badawczego?

- To jest przypadek lamparta, który zmienił swoje cętki - odparł Cameron. - I nikt nie wie jak, ani dlaczego. Pełna nazwa projektu brzmi Studium Metamorfozy Jądra Markowiańskiego.

- Co się stało? W jaki sposób zmienili się, w stosunku do tego, jacy byli wcześniej?

- Sto pięćdziesiąt lat temu Markowianie byli najbardziej złośliwym, paskudnym i kłótlwym gatunkiem w całej Radzie Stowarzyszenia Galaktyk. Grupy planet z jednego krańca ich galaktyki, które właśnie utworzyły Jądro, dysponowały siłą militarną przewyższającą wszystko, cokolwiek Rada mogłaby zgromadzić przeciwko nim. Kompletnie lekceważąc wszelkie akty międzyplanetarnych reguł, czy porządku, nekali i atakowali pokojowy handel nieagresywnych społeczeństw, na obszarze olbrzymiego terytorium. Ich działania stały się czymś, co wymagało podjęcia przez Radę akcji wojskowej. Ale Radzie brakowało siły.

Poprawił się i mówił dalej.

- Przez całe lata Rada przeciągała sprawę, nieefektywnie debatując i wysyłając nieskuteczne groźby. Ale nigdy niczego nie zrobiono. A potem, tak stopniowo, że z trudem dało się to zauważyć, skala rozbojów zaczęła maleć. Markowianie porzucili wojowniczą postawę. W ciągu kolejnych siedemdziesięciu, osiemdziesięciu lat, nastąpił zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Zmienili się, w dobrych Indian, stając się pokojowymi, skłonny do współpracy i inteligentnymi członkami Rady.

- Czy nikt nigdy nie dowiedział się, dlaczego? - spytała go Joyce.

- Nie. Nikt *nie chciał* tego sprawdzać. W czasie pierwszych lat planety Rady kryły się za swoimi zbiorowymi ciałami, ze wszystkich sił mając nadzieję, że zagrożenie minie, jeżeli dostatecznie długo będą trzymać zasłonięte oczy. I jakimś najbardziej cudownym z cudów, kiedy rozłożyły

swoje paluszki, aby rzucić spod nich ze strachem okiem, okazało się że zagrożenie *rzeczywiście* zniknęło.

Roześmiał się.

– Kiedy mogli odetchnąć już z trochę lżejszą piersią, wyciąganie tego starego trupa z szafy, wydawało się głupim posunięciem, tak więc zaciągnięto nad nim wieczną kurtynę ciszy. W końcu, cała ta sprawa praktycznie poszła w zapomnienie, poza sporadycznymi krótkimi akapitami pojawiającymi się od czasu do czasu, w jakimś tekście historycznym. Ale żaden z polityków ani historyków, nigdy nie ośmielił się publicznie podnosić kwestii tajemniczych przyczyn całkowitego zwrotu Markowian.

– Socjologowie powinni to już zrobić dawno temu – stwierdziła Joyce.

– Oczywiście zawsze było pewne polityczne ciśnienie – wyjaśnił Cameron. – Ale prawdziwym powodem była po prostu nasza skłonność do wzajemnego bazowania, na bibliografiach stworzonych z artykułów swoich kolegów. Odejście od tego wymaga wiele bieżącej, czyli czegoś, do czego formalne studia nie dają żadnego, nawet podstawowego przygotowania. Fothergill to rozumie -- to właśnie dlatego tak bardzo mnie popierał przed Fundacją. A i Riley, z ich kierownictwa, także był w stanie to dojrzeć.

Wzruszył ramionami.

– Pokazałem mu, że mamy do czynienia ze związkami, co najmniej stu dziesięciu dużych planet, zamieszkałym przez dosyć jednorodny, całkiem cywilizowany naród, przynajmniej mówiąc z technologicznego punktu widzenia. I niemalże w ciągu jednej nocy, jakaś siła zmieniła całą jego postawę społeczną. Spowodowałem, iż zrozumiał, że identyfikacja takiej siły, nawet w dzisiejszych czasach, nie powinna być dla nas sprawą mało interesującą. Jeżeli stało się to raz, może stać się również ponownie -- a czy za drugim razem skutki takiego wydarzenia muszą być również takie fortunne?

Zrobił dumną minę.

– Dzięki Rileyowi, Fundacja wysupłała na tyle dużo, byśmy ty i ja mogli wszystko rozpocząć. To, czego można oczekiwać po tym projekcie, to, prawdę mówiąc, wstępne badania, ale jeżeli uda nam się znaleźć dowody czegoś bardziej konkretnego, to dostanę mój stopień, a ty dostaniesz twoją podstawową certyfikację -- i oboje wrócimy tam jako kierownicy projektu w pełnej skali, z wystarczająco dużym zespołem ludzi, aby przez następny rok dokopać się do naprawdę ważnych rzeczy.

Zmienił temat.

– A teraz... odnośnie tego małżeństwa, o którym nie chciałaś ze mną rozmawiać...

– Mów dalej, Cam -- robisz to tak cudownie!

Wzięli ślub natychmiast, nawet pomimo tego, że pozostało jeszcze kilka tygodni zajęć ze studentami, które musiały zostać dokończone, zanim będą mogli wyjechać. Pomiędzy ich przyjaciółmi na kampusie, krążyło całe mnóstwo szeptanych komentarzy, o szaleństwie jakie

opanovało Joyce i Camerona, planujących tak fantastyczną wyprawę, ale Joyce była pewna, że w oczach jej znajomych było równie dużo krytycyzmu, co i zazdrości. Ich opinie, że każdy możliwy do pomyślenia czynnik socjologiczny, albo kombinacja takich czynników, mogą zostać znalezione i przebadane dokładnie tutaj, w Układzie Słonecznym, mogły być prawdziwe, ale mąż, który potrafił załatwić sobie sposób na połączenie podróży poślubnej niemal na drugi koniec kosmosu, z badaniami nad swoją rozprawą doktorską, był rzadkim okazem. Joyce cieszyła się swoim sukcesem, i wszystkimi jego pozytywnymi konsekwencjami.

Jednakże dwa tygodnie przed dniem wylotu, Cameron został wezwany do biura profesora Fothergilla. Kiedy wszedł do środka, zastał tam jakiegoś mężczyznę, mającego na sobie uniform, w którym od razu rozpoznał umundurowanie Sekretariatu Rady.

– Poczekał przed gabinetem – powiedział szybko, kiedy Fothergill odwrócił się w jego stronę. – Dostałem pańską wiadomość i od razu tutaj przyszedłem. Nie wiedziałem...

– Usiądź proszę – przerwał mu Fothergill. – Cameronie, to jest pan Ebbing, którego miejsce pracy bez wątpienia rozpoznajesz. Panie Ebbing, pan Wilder.

Mężczyźni uścisknęli sobie dłonie i zajęli miejsca przy błyszczącym stole, naprzeciwko siebie. Fothergill usiadł pośrodku, pomiędzy nimi.

– Zdaje się, że w Radzie pojawiło się zainteresowanie twoją propozycją badań, wśród Markowian – rozpoczął. – Ale może lepiej opowie ci o tym sam pan Ebbing.

Cameron, kiedy spojrział na sekretarza, poczuł narastające w nim uczucie niespokojnego oczekiwania. Z pewnością Rada nie ma zamiaru aktywnie sprzeciwić się badaniom, po tak długim czasie!

Sekretarz odkaslnął i zaszeleścił papierami, które wyciągnął ze swojej teczki.

– To w zasadzie nie jest kwestia zainteresowania Rady – oznajmił, a Cameron momentalnie poczuł ogarniające go uczucie ulgi. – Ale zostałem poproszony przez Jądro Markowiańskie, za pośrednictwem jego przedstawiciela, aby zasugerować panu, że mógłby pan sobie oszczędzić tej długiej i zbędnej podróży. Oferuje on najdalej posuniętą współpracę, poprzez udostępnienie wszystkich niezbędnych materiałów, które mogą zostać przesłane do pańskiego miejsca badań, w tym ośrodku. Uważa, że przynajmniej tyle może zrobić, ponieważ w samym Jądrze wydaje się istnieć bardzo niewielkie zainteresowanie tą sprawą.

Cameron wpatrywał się w sekretarza, próbując zorientować się jakie może być osobiste nastawienie mężczyzny, ale Ebbing nie dawał żadnych oznak tego, że rozumie swoje słowa inaczej niż dosłownie.

– To brzmi jak grzeczne zaproszenie do tego, żeby zostać w domu i pilnować własnego nosa – w końcu stwierdził Cameron. – Nie chcą nas tam.

Na twarzy sekretarza, pojawiło się na uznanie dla poprawnej oceny.

– Nie chcą żadnych badań dotyczących Metamorfozy Jądra Markowiańskiego. W ogóle nie ma czegoś takiego. To jest zupełny mit.

– Tak mówią Markowianie...!

Ebbing skinął głową.

– Tak mówią Markowianie. Inne planety, zarówno zrzeszone z Radą, jak i spoza niej, od długiego czasu z uporem rozpowszechniają plotki i niesprawdzone pogłoski na temat Markowian. Nie podoba im się to. Skłonni byliby współpracować w publikacji poprawnej analizy ich cywilizacji, ale chcą przerwać szerzenie tych zniesławiających ich pogłosek.

– A więc, dlaczego nie chcą poprzeć takiego projektu? To byłoby dla nich duża szansa -- jeżeli ta ich śmieszna koncepcja miałaby być prawdziwa!

– Ależ oni *chcą*. Przecież mówiłem panu, że ich przedstawiciel zaoferował się, przesłać panu wszystkie potrzebne materiały, przedstawiające stan ich cywilizacji.

Cameron przez długi czas przyglądał się sekretarzowi, zanim ponownie się odezwał.

– A jakie jest pańskie stanowisko? – w końcu go zapytał. – Czy otrzymujemy polecenie przerwania badań?

– Przedstawiciel Markowian nie chciał osiągnąć takiej całkowitej skrajności. Zdaje sobie również sprawę z tego, że coś podobnego, wywołałoby nieprzychylnie reakcje wobec jego narodu. Oto więc jego stanowisko: Jak do tej pory, blokował wszystkie informacje, na temat zaproponowanego przez pana projektu badawczego, nie pozwalając na ich dotarcie do jego rodzinnych planet. Wie jednak, że jeżeli zdecyduje się pan na przeprowadzenie badań, w sposób jaki pan zaproponował, to wielu jego rodaków poczuje się bardzo niezadowolonych, i będą oni domagać się od niego odpowiedzi, dlaczego tego wszystkiego nie zastopował. Tak więc, próbuje zadowolić jednocześnie obie strony.

– Ale dlaczego ludzie w Jądrze mieliby być niezadowoleni z powodu naszego przybycia?

– Ponieważ poleci pan tam próbując prześledzić podstawy pogłosek, które zniesławiają charakter Markowian. Na siłę postawi im pan przed oczyma fakt, że reszta Wszechświata uważa, iż Markowianie zasadniczo są bandą piratów.

– A Markowianom nie spodoba się słuchanie takich rzeczy?

– Zdecydowanie, nie.

– Tak więc mówi mi pan, że te badania nie są zabronione, ale nie podobają się one Markowianom. Wydaje mi się więc, że w takim przypadku muszę oświadczyć, iż nie mam zamiaru rezygnować, chyba że usłyszę oficjalne polecenie od samej Rady. Jeśli jednak będzie to niezbędne, mogę zakamuflować same badania. Nie będę w sposób otwarty wspominał o tym, co zewnętrzna opinia publiczna mówi o Markowianach. Po prostu przeprowadzę badania nad ich historią, a ich charakter znany będzie wyłącznie mnie.

Ebbing powoli skinął głową, z oczyma utkwionymi w twarzy Camerona.

– Powiedziałbym, że to byłoby absolutnie zadowalające – oznajmił. – Poinformuję przedstawiciela o pańskiej decyzji.

Potem na jego twarzy pojawiła większa powaga.

– Rada będzie zadowolona, widząc pańską chęć do zachowania dyskrecji. Zastanawiam się, czy rozumie pan, że Fundacja po otrzymaniu pańskiego wniosku, zgłosiła się do nas, w celu otrzymania oficjalnego zezwolenia na realizację tego projektu. Zupełnym przypadkiem zbiegło się to z planami samej Rady. Od dłuższego czasu byliśmy mocno zatroskani brakiem informacji o sytuacji Markowian i zastanawialiśmy się głęboko nad tym, jak poprawić naszą pozycję. Propozycja pańskich badań wydawała się odpowiadać na dręczące nas rozterki, ale przewidywaliśmy obiekcje Markowian i musieliśmy się upewnić co do pańskiej współpracy w celu ich zaspokojenia. Wydaje mi się, że pańska obecna propozycja powinna to zapewnić.

– Dlaczego Rada była zaniepokojona? – spytał Cameron. – Czy Markowianie w jakiś sposób zmienili swoją postawę?

– Nie -- ale reszta z nas pamięta, nawet jeżeli nie mówimy o tym głośno, że Jądro nigdy nie zostało ukarane za swoje rozboje, ani też nigdy nie zostało pokonane militarnie. Jego siła jest równie duża jak zawsze, w porównaniu z innymi planetami Rady.

Zastanawiał się przez chwilę, a potem kontynuował.

– Jakie jest ryzyko i potencjalna możliwość, że planety Jądra mogą kiedyś ponownie stać się grabieżcami, tak jak to było przed laty? Oto jest pytanie, na które uważamy, że musimy uzyskać odpowiedź. Jeżeli tego nie wiemy, to siedzimy na beczce prochu, której lont może być, ale równie dobrze i nie, podpalony. Czy dostarczy pan nam odpowiedzi, której potrzebujemy?

Cameron poczuł ponury cień, którego nie było wcześniej.

– Zrobię wszystko, co będę mógł – odparł rozsądnie. – Jeżeli te informacje tam są, to przywiozę je z powrotem.

Kiedy sekretarz wyszedł, a Fothergill wrócił od drzwi, aby porozmawiać z Cameronem, ten ostatni czuł się lekko zszokowany pojawieniem się nieoczekiwanego poparcia Rady. Przenosiło ono jego badania z królestwa czystej socjologii, rzutuując je w politykę i dyplomację. Mile połechtало go ich zaufanie do niego, ale nie cieszył się bynajmniej, ze zwiększonej odpowiedzialności.

– To jest szczęśliwy przełom – entuzjastycznie stwierdził Fothergill, – i zaczynam podejrzewać, że możesz dosyć rozpaczliwie potrzebować wszelkich przełomów, jakie będziesz w stanie uzyskać, kiedy już wylądujesz wśród Markowian. Nawet przez chwilę nie zapominaj, że masz do czynienia z synami i wnukami prawdziwych piratów.

Profesor ponownie usiadł na swoim poprzednim miejscu.

– Jest jedna niewielka, ale interesująca sprawa, na którą natknąłem się pewnego dnia. Powinieneś o tym wiedzieć, zanim polecisz. Otóż, jądro Markowiańskie jest w pewnym sensie siedliskiem Idsów.

– Idsów... to jest chodzi panu o Idealistów?

Fothergill skinął głową.

– Czy wiesz coś o nich?

- Niezbyt dużo, poza tym, że są oni czymś w rodzaju pasożytniczej grupy istot, żyjących zazwyczaj w związkach podległości, w stosunku do innych ras z planet typu ziemskiego. O ile sobie przypominam, oni nawet twierdzą, że nie znają planety, czy też choćby galaktyki, z której pochodzą, ponieważ przez tak wiele pokoleń byli wędrowcami między obcymi rasami. Być może to dobry pomysł, aby również przeprowadzić badania ich społeczności... Nie wiem, czy jakieś gruntowne, zostały kiedykolwiek wykonane.

- To jest właśnie ta sprawa, o której chciałem cię uprzedzić – powiedział Fothergill, uśmiechając się lekko. – Trzymaj się jednego tematu na raz. Idź sami w sobie stanowiliby znakomity projekt badawczy, i ewentualnie, być może, mógłbyś się wokół nich trochę zakręcić. Ale na razie zostaw ich w spokoju i nie rozpraszaj się, tak by nie oderwało cię to od twojego głównego nurtu badań, na temat Markowian. Polityka Fundacji Corninga polega na domaganiu się za pieniądze, które wykładają na stół, jakichś bardzo określonych wyników. Nie możesz liczyć na to, że wrócisz tam w przyszłym roku, jeżeli nie będziesz w stanie takich dostarczyć. Dlatego właśnie chciałbym, abyś w żadnym razie nie zapuszczał się w żadne poboczne ścieżki.

II

Cameron przyznawał sam przed sobą, że w miarę zbliżania się dnia wylotu, robił się coraz bardziej poirytowany, próbował jednak tak się zachowywać, aby Joyce tego nie zauważyła. Martwił się o możliwe dalsze przeszkody, po tym gdy Markowianie wyrazili swoje niezadowolenie. Niepokoił się również o to, jak zostaną przyjęci, kiedy już znajdą się w Jądrze. Zastanawiał się, w jaki sposób mogli z góry nie przewidzieć tego, że uświadomienie Markowianom faktycznego celu badań, będzie oczywistym błędem. Nie trzeba było przecież nawet przodków piratów, aby każda społeczność bez entuzjazmu podchodziła do budzenia, jej rodzinnych upiorów.

Żadne nowe przeszkody jednak się nie pojawiły i podczas wieczornego spotkania w przeddzień wyjazdu, Fothergill przekazał mu, że zgodnie z wiadomościami otrzymanymi od Ebbinga, przedstawiciel Markowian zaaprobował ich wizytę, po tym kiedy Cameron wyraził wolę zmiany jej celów. Informacje o ich przybyciu zostały przekazane markowiańskiemu społeczeństwu i wszyscy zainteresowani przygotowywali się, do ich oficjalnego przyjęcia.

Camerona nieco uspokoiła ta zmiana nastawienia. Po raz pierwszy uderzył go jednak z pełną siłą fakt, zabiera swoją nowo poślubioną żonę do skupiska piratów, których Rada nigdy nie powaliła na kolana, i które było aktywne zaledwie parę chwil temu, oceniając w kategoriach rozwoju cywilizacyjnego.

W przypadku powstania jakichkolwiek problemów, Rada będzie niemal bezsilna i nie będzie w stanie udzielić im żadnej skutecznej pomocy. Pozornie, nie było żadnych powodów, aby spodziewać się problemów. Ale dziwnie skryty sprzeciw delegata Markowian, nadal wzbudzał w nim poważny niepokój.

Jego nieśmiała sugestia, że czułby się lepiej, gdyby wiedział, że ona będzie bezpieczna tutaj, na Ziemi, wywołała gorącą odpowiedź Joyce, która nie pozostawiła mu żadnych wątpliwości, co do wspólnej realizacji ich oryginalnych planów.

I właśnie wtedy, kiedy spakowali już ostatnie rzeczy i byli niemal gotowi do wyjazdu, nagle zadzwonił telefon. Cameron zawahał się, w zasadzie zdecydowany, aby go już nie odbierać, ale potem zirytowany uderzył w przycisk, jednak tylko połączenia audio.

Zamiast rozmówcy, usłyszał głos operatorki:

– Proszę chwilę poczekać. Międzygwiezdna, Transpace, wiadomość drukowana. Proszę włączyć video.

To był prawdziwy szok, jak oceniał to później, z perspektywy czasu. Nie było nikogo, kto mógłby chcieć się z nim w taki sposób połączyć. Ale automatycznie zrobił to, co mu polecono. Joyce podeszła do niego i spoglądała mu przez ramię. Ekran zatrzepotał przez chwilę wielobarwną tęczą, a następnie wyostrzył się. Wyświetlała się na nim wyraźnie wiadomość, w angielskim tłumaczeniu. Joyce i Cameron wykrzyknęli jednocześnie, odczytawszy wiersz nagłówkowy. Wiadomość pochodziła od premiera Jargła, Przewodniczącego Rządu Markowiańskiego.

– Państwo Joyce i Cameron Wilder – brzmiała. – Serdeczne pozdrowienia i uznanie dla zaproponowanej przez państwo wizyty w Jądrze Markowiańskim, w celu przeprowadzenia badań naszej historii i zwyczajów. Nigdy jeszcze nie byliśmy tacy zaszczytzeni. Uważamy jednak, że wymaganie od państwa podjęcia tak długiej podróży do Jądra, jedynie w takim celu, byłoby narzucaniem się państwa Fundacji i państwu osobiście. Oczywiście, bylibyśmy zaszczytzeni, mogąc państwo gościć...

To była ta sama propozycja, którą zgodnie z doniesieniem Ebbinga, złożył przedstawiciel. Tylko, że tym razem pochodziła ona od samego szefa rządu markowiańskiego.

Siedzieli przez całą niemal resztę nocy, roztrząsając tę nową sytuację.

– Pomimo wszystko, może jednak nie powinieneś tam lecieć – w pewnej chwili stwierdziła Joyce. – Być może to coś, co wymaga poważniejszego potraktowania, niż możliwe jest to z naszej strony?

Cameron pokręcił przecząco głową.

– *Muszę polecieć.* Nie zamknęli do końca drzwi, i nie powiedzieli, że nie zezwalają nam na przybycie. Jeżeli wycofam się, zanim to zrobią, przez całą resztę życia, będzie chodziła za mną opinia faceta, który po prostu rozwalił problem Markowian. Ale wolałbym raczej, żebyś ty...

– Nie! Jeżeli ty lecisz, to ja lecę razem z tobą.

Skonsultowali się ponownie z Fothergillem i na koniec naszkicowali tak bardzo uprzejmą odpowiedź, jak to tylko było możliwe, wyjaśniając, że niedawno się pobrali, że pragną ten wyjazd potraktować przede wszystkim jako podróż poślubną, i przy okazji przeprowadzić badania cywilizacji markowiańskiej, aby nie stracić wspaniałej możliwości, jaką daje im tego rodzaju wizyta.

Godzinę przed odlotem, z Jądra nadeszło uprzejme potwierdzenie, zapewniające o ich ciepłym powitaniu i gratulujące im z powodu ślubu. Od razu polecili do portu kosmicznego i zajęli swoją kabinę.

– Zanim wydarzy się cokolwiek innego, co mogłoby uniemożliwić nam te badania – stwierdził Cameron.

Podróż miała być bardzo długa, wymagała bowiem ponad dwu miesięcy subiektywnego czasu, jako że w kierunku Jądra, nie było w ogóle żadnych rejsów ekspresowych, pozwalających na szybkie pokonanie jakichś znacznie większych odległości. Konieczne były trzy przesiadki, wymagające kilku dni oczekiwania na statek, na planetach charakteryzujących się warunkami powierzchniowymi, pozwalającymi na

CAMERON



eksplorację wyłącznie w niewygodnych skafandrach, które można było nosić jedynie przez stosunkowo niedługi okres. Większość czasu oczekiwania, musieli więc spędzić w kabinach dla gości, na lądowiskach.

Te zaś, wydawały się robić coraz gorsze. Ostatnia, z której korzystali, nie była w stanie utrzymać grawitacji poniżej 2g, a możliwa do uzyskania w niej temperatura minimalna, wynosiła 104 stopnie. Musieli w niej poczekać przez trzy dni, z których większość Joyce spędziła leżąc w łóżku, pod chłodzącym podmuchem wentylatora. Jego otrzymanie zdawało się przy tym, wymagać specjalnego pozwolenia rady ministrów.

Cameron nie miał jednak ochoty na marnowanie czasu w podobny sposób, pomimo niewygód, powodowanych przez jakikolwiek rodzaj aktywności. Jednym z czynników fizycznych, które ciągle zdawały się umykać mieszkańcom planety, na której właśnie przebywali, była wilgotność. Kiedy naciągnął na siebie nową parę spodenek, i zataczając się, ruszył z trudem korytarzem, w kierunku okna, dającego ograniczony widok na otaczające ich miasto, mógłby przysiąc, że utrzymywano ją stale, na poziomie co najwyżej ułamka procenta.

I właśnie wtedy odkrył, że przez resztę podróży miał im towarzyszyć obywatel Markowianin i jego

służący, Ids.

Pokoje gościnne, w których zapewniano te na wpół terrańskie warunki, obejmowały jedynie trzy mieszkania. Kiedy Cameron i Joyce przybyli tutaj poprzedniej nocy, pozostałe dwa były puste. Teraz miejsce przy oknie zajmował markowiański Ids. Uniósł wzrok z ciepłą życzliwością i zaprosił Camerona, aby się do niego przyłączył.

Cameron zawahał się przez chwilę, niezdecydowany czy nie wrócić do swojego mieszkania, po przenośny translator semantyczny, wykorzystywany w jego profesji w podobnych przypadkach. Zawsze uważał, że uciekanie się do użycia tego rodzaju sprzętu, było czymś zdecydowanie nieprofesjonalnym, i przed wyjazdem spędził wiele godzin, próbując opanować język Markowiański. Całkiem nieźle rozumiał Idsa i zdecydował, że może spróbować porozmawiać z nim, bez translatora.

– Dzięki – powiedział, zajmując fotel obok. – Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli dużo więcej do roboty, poza oglądaniem tej scenerii za oknem.

Ids okazał oczywiste zaskoczenie, że Cameron mówi jego językiem, bez pomocy żadnego urządzenia. Jego wygląd zrobił się jeszcze bardziej zadowolony.

– To nieczęsto się zdarza, żeby ktoś z pańskiej rasy zadał sobie na tyle dużo trudu, aby nauczyć się z nami komunikować. Musi pan się spodziewać dłuższego pobytu u nas?

Cameron ogarnęło ponownie uczucie ostrożności, przypominając sobie skutki wcześniejszej niedyskrecji w rozgłaszaniu swoich celów. Otarł strumień potu z czoła i szyi, a następnie obrzucił Idsa uważnym spojrzeniem.

Idealiści byli rasą antropomorficzną, o ciemnej skórze, w kolorze podobnym do barwy ciała terrańskich Indian. Jednak bardzo niewielu z nich, w ogóle kiedykolwiek pojawiło się na Ziemi i był to właściwie pierwszy raz, kiedy Cameron widział któregoś z nich na własne oczy. Z krótkich badań przeprowadzonych w Instytucie, wiedział co nieco, o reputacji jaką się cieszyli oraz ich podstawowej charakterystyce. Ale o Idsach nikt tak naprawdę, zbyt wiele nie wiedział, a przynajmniej jeśli chodzi o Ziemiaków. Ostrzeżenie profesora Fothergilla, aby trzymać się głównej linii badań, zatoneło mu gdzieś głęboko w pamięci, gdy z rosnącym w duszy nowym uczuciem podekscytowania, przysiadł się do obcego.

– Zawsze mi się wydawało, że nie można zrozumieć innych ludzi, chyba że mówi się ich językiem – powiedział swoim, wcale nie tak bardzo łamanym, Markowiańskim.

Ids, podobnie jak on sam, ubrany był jedynie w najbardziej skąpe elementy garderoby, a kiedy skinął głową, po jego ciemnej skórze spływały kropelki potu.

– Czy mógłbym się przedstawić: Sal Karone, jestem sługą Pana Dallsa Ret Marthasy.

Cameron przedstawił się w odpowiedzi i ostrożnie wyjaśnił, że on i Joyce byli w podróży poślubnej, ale przy okazji interesowali się historią i zwyczajami w Jądrze Markowiańskim.

– My, istoty rozumne, tak mało wiemy o sobie nawzajem -- to byłby dla mnie prawdziwy przywilej, gdyby udało mi się przywieźć z powrotem do domu informacje, pozwalające na głębsze wzajemne zrozumienie.

– Wszystko, co posiada Idealista, należy do każdego człowieka i wszystkich ras – uroczyście odparł Sal Karone, – Możemy przekazać panu informacje o wszystkim, o cokolwiek tylko pan nas zapyta. Chciałbym jednak przekazać panu kilka słów ostrzeżenia, na temat moich Panów.

Kiedy Ids odwrócił się w stronę Camerona i jego spojrzenie spoczęło na nim, Ziemiak poczuł nagle, że po plecach przebiegł mu chłodny dreszcz.

– Niech pan nie próbuje wyciągać na światło dzienne, ukrytych spraw Panów. Czy nie po to pan do nas przybywa, panie Wilder? To właśnie dlatego zadał pan sobie tyle trudu, aby nauczyć się języka, w którym rozmawiamy. Uprzedzam pana jednak, aby nie dopytywał się pan o sprawy, o których oni sami nie chcą mówić. Moi Panowie, są narodem, który na razie nie może zostać właściwie zrozumiany przez ludzi z innych planet. Z czasem, takie zrozumienie się pojawi, ale w tej chwili jest na to

jeszcze za wcześnie. Próbując zbyt pośpiesznie działać w tym kierunku, ściągnie pan tylko katastrofę i rozczarowanie, na nas i na siebie samego.

– Zapewniam pana, że nie mam zamiaru niczego potajemnie podpatrywać – odparł zachowawczo Cameron. Szukał w głowie odpowiednich markowiańskich słów. – Źle mnie pan rozumiał... Przybywamy tutaj wyłącznie z przyjaźni i nie mamy zamiaru w niczym przeszkadzać...

Ids pokiwał refleksyjnie głową.

– Tak wiele kryzysów zostało wywołanych przez dobre intencje. Ale jestem pewien, że teraz rozumie pan uczucia moich Panów, odnośnie tych spraw, oraz że podczas pobytu w Jądrze zajmie się pan tylko własną rozrywką. I proszę koniecznie zajrzeć do centrów Idealistów, ponieważ wiele możemy tam panu pokazać, a nasza gotowość współpracy, nie ma żadnych ograniczeń.

Przez chwilę Cameron zupełnie zapomniał, że ma do czynienia zaledwie ze zwykłym sługą Markowian. Słowa Idsa były takie sugestywne, a jego postawa tak nacechowana autorytetem i władczą, że zdawało się, iż musi on mówić w imieniu swoich władz.

Potem jednak sposób zachowania obcego, zupełnie się zmienił. Śmiałość i pewność siebie Idsa znikła, i oznajmił on służalczym tonem:

– Proszę mi wybaczyć – powiedział, – ale są to kwestie, z którymi związane są silne uczucia.

Cameron Wilder był bardziej niż skłonny, aby zgodzić się z tym odczuciem. Kiedy wracał do kwatery, zastanawiał się nad poinformowaniem Joyce o swoim spotkaniu z Idsem, ale w końcu zdecydował, że nie wspomni o nim do czasu, kiedy wszyscy razem nie wyruszą w dalszą podróż, pomijając przy tym sprawę powtórzenia przez obcego, wcześniej już przekazywanych im ostrzeżeń.

Do końca ich pobytu w kwaterach dla oczekujących, nie spotkał Markowianina, ani nie natknął się ponownie na Idsa. Dopiero kiedy znaleźli się na pokładzie statku, którym mieli pokonać ostatni etap swojej podróży, i spędzili na nim ponad połowę dnia, spotkali się z nimi po raz drugi.

Statek nie był jednostką markowiańską ani ziemską. Czekanie na jeden z takich pojazdów, wymagałoby kolejnego tygodnia spędzonego na planecie. Pomimo tego, ich kwatery nie były niewygodne, tylko dosyć ograniczone. Większa część statku została zbudowana dla załogi i pasażerów bardzo odmiennych od Terran, czy Markowian, i tylko niewielka liczba kabin pasażerskich, przystosowana była do zamieszkania przez tego typu rasy.

Ta sytuacja z kolei skazała podróżników do Jądra na wzajemne towarzystwo. Ich kabiny wychodziły na wspólny pokład salonowy, i kiedy Cameron i Joyce wyszli na zewnątrz, znaleźli już tam siedzących Sala Karone i Markowianina, Marthasę.

Ids natychmiast zerwał się na nogi. Z głębokim ukłonem przedstawił nowoprzybyłych swojemu Panu. Dells Marthasa wstał i z uśmiechem wyciągnął dłoń.

– Zdaje się, że w taki właśnie sposób witacie się na Ziemi, nieprawdaż?
– powiedział.

– Musi pan dużo wiedzieć, o naszej rodzinnej planecie – odparł Cameron, oddając uścisk dłoni.

– Och, jedynie tylko trochę, na podstawie moich badań – stwierdził Markowianin. – Wystarczająco dużo jednak, abym chciał dowiedzieć się znacznie więcej. Proszę się do nas przyłączyć. Odkąd mój *sargh* powiedział mi, że będziemy razem podróżować, z niecierpliwością oczekiwałem naszego spotkania.

Termin *sargh*, jak Cameron wkrótce się dowiedział, stosowany był w odniesieniu do wszystkich Idsów przydzielonych Markowianom. Jego znaczenie miało charakter pośredni pomiędzy służącym, a towarzyszem. Sal Karone trzymał się przez cały czas w cieniu, ale w jego sposobie zachowania nie było widać żadnej służalczości. Jego oczy spoglądały jednak na Marthasę z poważaniem, niemal czułością -- tak, to było właściwe słowo, jak pomyślał sobie z zaciekawieniem Cameron.

Podczas gdy Ids był smukłej budowy, Markowianin był wyższy i mocniej zbudowany. Kolor jego skóry również był ciemny, ale nie aż tak bardzo, jak Idsa. Miał na sobie luźny, bogato ubarwiony strój, sprawiający na Cameronie wrażenia, jakby miał do czynienia z orientalnym potentatem, ze swojej własnej planety.

W sposobie zachowania Markowianina, widoczna była jednak pewna cecha, wywołująca zgrzyt. Nie byłaby ona może tak bardzo wyraźna, gdyby Markowianin nie miał aż tak wysoce antropoidalnej postaci i rysów twarzy, tak że Cameron stwierdził, że trudno mu o nim myśleć inaczej niż jako o człowieku.

Człowieku pełnym arogancji i o złych manierach, który w dodatku był zupełnie tego nieświadomy.

Było to wyraźnie widoczne w jego gestach i niedbałości z jaką rozpierał się w fotelu i szacował wzrokiem swoich towarzyszy rozmowy.

– Będzie pan zaskoczony, kiedy zobaczy pan Jądro – oznajmił. – Docierały do nas czasami pogłoski krążące między planetami Rady, o tym że cywilizacja markowiańska ma być to niby dosyć zacofana.

– Nigdy nie słyszałem niczego podobnego – odparł Cameron. – Tak prawdę mówiąc, to na temat Jądra, nie słyszałem niemal zupełnie nic. Dlatego właśnie zdecydowaliśmy się tu przylecieć.

– Jestem pewien, że będą państwo zadowoleni ze swojej decyzji. Jak ci się wydaje, Karone?

Twarz Idsa była w pełni opanowana, kiedy skinął uroczyście głową i potwierdził:

– Z pewnością, Panie. – Jego płonące oczy wpatrywały się prosto w oczy Camerona.

– Chciałbym dowiedzieć się więcej o państwa rodakach, o Ziemi – powiedział Marthasa. – Proszę mi powiedzieć, co chcieliby państwo zobaczyć, kiedy będą państwo w Jądrze.

Podczas gdy Joyce odpowiadała, wyjaśniając, że niewiele wiedzą o tym, co w ogóle można tam zobaczyć, uwagę Camerona przyciągnął problem dziwnego związku pomiędzy dwoma ludźmi -- dwoma rasami. W twarzy Idsa zdawał się dostrzegać spokój, godność, której Markowianin nigdy by nie był w stanie zachować. Zastanawiał się, dlaczego Idsom nie udało się wyrwać z tego stanu poddaństwa, aby osiągnąć niepodległość.

Joyce opowiedziała przygotowaną historię, o ich podróży poślubnej, przedstawiając ich zainteresowania cywilizacją Markowian, jako naprawdę zupełnie przypadkowe i swobodne. Kiedy kontynuowała ten temat, zdawało się, że Marthasa wpadł nagle na pewien pomysł:

- Nalegam, aby podczas pobytu w Jądrze, urządzili sobie państwo kwaterę główną u mnie - zaproponował. - Z tego co wiem, chcą państwo w czasie tej wizyty dowiedzieć się wszystkiego co się da, o naszym kraju. Tak się składa, że mój syn jest kierownikiem Działu Historii w naszej największej bibliotece naukowej, a moja córka pełni funkcję asystentki kuratora w naszym Muzeum Nauki i Kultury. Nigdzie nie znajdą państwo lepszej możliwości, na przebadanie cywilizacji Jadra!

Cameron aż się skrzywił w duchu na samą myśl o towarzystwie Marthasy w czasie całego ich pobytu, ale jednak stwierdzenie Markowianina wydawało się być absolutną prawdą. Mogło nie być lepszej możliwości na przeprowadzenie ich badań.

- Mamy oficjalną notę z zaproszeniem, od szefa waszych władz, pana premiera Jargli - odparł. - Bylibyśmy bardzo szczęśliwi, mogąc przyjąć pańską propozycję, ale może on mieć przygotowane jakieś inne plany na nasze przyjęcie.

Marthasa machnął niedbale ręką.

- Bez trudu zorganizuję, aby mianowano mnie, państwa oficjalnym gospodarzem. Proszę uważać to za załatwione!

Tak więc zostało to uzgodnione. Joyce nie była jednak tak optymistyczna jak Cameron, w traktowaniu tego jako pomocy dla realizacji ich badań.

- Jeżeli oni mają generalnie awersję do rozmów o swoich pirackich przodkach, Marthasa jest po prostu gościem, który ma nas zepchnąć z tej ścieżki - stwierdziła. - Jeżeli poweźmie choćby cień podejrzenia, co do tego, co naprawdę chcemy wiedzieć, zajmie nas pokazywaniem nam wszystkich innych rzeczy, aż do czasu kiedy sami nie zrezygnujemy i nie wrócimy grzecznie do domu.

Cameron odchylił się do tyłu w swoim głębokim fotelu, trzymając ręce splecione za głową.

- Wcale nie tak trudno sobie wyobrazić prapradziadka Marthasy prowadzącego statki przez kosmos i plądrującego bezradne miasta na innych planetach. Warstewka cywilizacji na nim, nie wydaje się być specjalnie gruba.

- Nietrudno sobie wyobrazić, samego Marthasę, który to robi! - odparła Joyce. - Sztylet między zębami, doskonale by mu pasował!

- Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, prawdopodobnie coś takiego właśnie zobaczysz -- oczywiście, w przenośni mówiąc. Tam gdzie przeskok cywilizacyjny był tak duży jak tutaj, możesz być pewna, że znajdą się

oznaki wzajemnego konfliktu, obu jego krańców. To będzie równie wyraźne, jak linia uskoku geologicznego. Kiedy dowiemy się wystarczająco dużo o ówczesnych obyczajach, tego typu anomalie, będą widoczne jak na dłoni. To właśnie na to musimy pilnie uważać.

– Jedyłą rzeczą, która w jego obecnej ofercie nie pasuje do reszty, to propozycja pomocy przez jego syna, kierownika Działu Historii – zauważyła Joyce. – To nie zgadza się z poprzednimi zachętami, żeby zostać w domu. Kiedy dadzą nam już dostęp do swoich zapisów historycznych, będziemy mieli ich na widelcu.

– Jeszcze tego nie mamy – odparł Cameron. – Nie możemy być też pewni, tego co oni w ogóle pozwolą nam zobaczyć. Poza tym, mógłbym postawić pieniądze, że jak najszybciej będziemy musieli uporać się z kwestią Idsów. Sal Karone jest dwa razy większym człowiekiem, niż Marthasa, a jednak kiedy w pobliżu jest Markowianin, zachowuje się, jakby nie miał swojej własnej woli.

– Relacja Rzymianin i niewolnik – powiedziała Joyce. – Markowianie, w swoich pirackich czasach, prawdopodobnie podbili jakąś większą społeczność Idsów, i sprowadzili ich tutaj jako niewolników. I mogłabym się założyć, że bardzo dobrze zdają sobie sprawę, z tego że Idsowie są lepszymi ludźmi od nich. Marthasa dobrze o tym wie. To właśnie dlatego musiał zdecydować się na to przedstawienie, na oczach Sala Karone. On jest jak starożytny rzymski kupiec, walczący o zachowanie swojego poczucia wyższości nad greckim niewolnikiem uczonym.

– Ale Idsowie podobno wcale nie są niewolnikami. Zgodnie z tą niewielką ilością informacji, jaką posiadamy, są zupełnie wolni. W każdym razie, przynajmniej mam zamiar poznać wersję Marthasy w tej sprawie. Fothergill i Fundacja nie mogą się sprzeciwiać, chociaż tak niewielkiemu zakresowi badań w sprawie Idsów.

Stwierdził, że Markowianin całkiem chętnie daje się namówić na rozmowy o swoim *sargh*. Ostatniego dnia podróży, udało im się przez dłuższy czas zostać sam na sam, bez Sala Karone.

W odpowiedzi na pytanie Camerona, Marthasa pokręcił przecząco głową.

– Nie, *sargh* nie są niewolnikami, a przynajmniej nie w tym sensie, w jakim, jak mi się wydaje, rozumie pan to słowo. O żadnym z Idsów nie można tego powiedzieć. Tu chodzi o sprawę wyznawanej przez nich religii, która w taki właśnie sposób, każe im związać się z nami. Oni mają jakieś trudne do zrozumienia wierzenia, że ich egzystencja nie ma żadnej wartości, chyba że w służbie bliźnim. Ponieważ oznacza to, że wszyscy z nich nie byłiby w stanie doznać satysfakcji, służąc sobie nawzajem, tak więc musieli wybrać sobie jakąś inną rasę.

Po chwili kontynuował:

– Nie mogę sobie teraz przypomnieć, kiedy po raz pierwszy pojawili się w Jądrze, ale było to już wiele pokoleń temu. W każdym razie, Idsowie byli w mojej rodzinie, już od co najmniej sześciu, siedmiu pokoleń.

– Umieci latać przez kosmos i przybyli do was o własnych siłach? – niedowierzającym tonem spytał Cameron.

– Nie. Nic podobnego. Czy może pan sobie wyobrazić *ich*, budujących statki kosmiczne, co? Początkowo migrowali jako pasażerowie najniższych klas, liniami komercyjnymi. Nikt już nie jest w stanie powiedzieć, skąd do nas przybyli. Nawet oni sami nie wiedzą gdzie znajdują się ich ojczyste planety. Początkowo próbowaliśmy wyperswadować im, aby udali się gdzie indziej, ale potem stwierdziliśmy, że z tą swoją fanatyczną religią, mogliby być dla nas użyteczni jako służący.

– Obecnie prawdopodobnie nie ma w Jądrze żadnej rodziny, która nie miałaby co najmniej jednego Idsa jako *sargh*. Wiele z nich ma jednego z nich, dla każdego członka rodziny. – Marthasa przerwał na chwilę. Ton jego głosu lekko się zmienił. – Gdyby miał pan jakiegoś, niemal przez całe swoje życie, tak jak ja mam Sala Karone to -- no cóż, wtedy by coś to panu dawało.

– Co ma pan na myśli? – ostrożnie spytał Cameron.

– Proszę rozważyć sytuację z punktu widzenia Sala Karone. On nie ma niczego w życiu, co należałoby do niego. Jego jedynym celem jest dostarczanie mi towarzystwa i spełnianie moich życzeń. A ja nie potrzebuję go, w żaden sposób, do niczego zmuszać. Jego działanie jest zupełnie dobrowolne. Może nawet spokojnie odejść, w każdej chwili, kiedy tylko będzie chciał. Ale jestem pewien, że nigdy nie będzie chciał.

– Jak może być pan tego taki pewny?

– Trudno to wyjaśnić. Wydaje mi się, że tak bardzo stałem się jego częścią, że beze mnie nie byłby w stanie już dalej żyć. To on sam się zmienił w taki sposób, a nie ja jego. Stałem się mu niezbędny do dalszej egzystencji. W taki sposób usiłuję to sobie wyjaśnić. Większość z moich przyjaciół uważa, że mniej więcej mam rację.

– Raczej trudno mi zrozumieć tego rodzaju związek... chyba że określimy go przy pomocy jednego terminów, do których jestem przyzwyczajony z Ziemi.

– Tak...? A jak coś takiego zostałoby określone przez pańskich rodaków?

– Kiedy jakiś człowiek tak bardzo poświęca swoje życie innemu człowiekowi, mówimy, że to jest miłość.

Marthasa zastanawiał się nad jego słowami.

– Chyba byłby pan w błędzie – stwierdził. – Po prostu chodzi tylko o to, że w pewnym sensie staliśmy się niezbędni dla Idsów. Oni są pasożytami, jeżeli chciałby pan to w ten sposób określić. Ale umożliwiają nam zawarcie związku, którego nie moglibyśmy zdobyć nigdzie indziej, i przynosi nam on naprawdę dużo dobrego. To właśnie miałem na myśli, kiedy powiedziałem, że coś to nam daje.

– A co z własną kulturą Idsów? Czy istnieją jakieś więzi społeczne między nimi samymi, czy też ignorują oni istoty swojego gatunku?

– Nigdy specjalnie mocno tego nie drażyliśmy. Przypuszczam, że kilku z naszych naukowców, może znać odpowiedź na to pytanie, ale reszta z nas, nie. Tak, to prawda, że Idsowie mają swoje społeczności. Nie wszyscy z nich są w tym samym czasie na służbie, jako *sargh*. Mają niewielkie grupki i społeczności na krańcach naszych miast, ale one za bardzo się nie liczą. Jako rasa, są po prostu gorsi. Nie mają odpowiedniego potencjału,

do rozwoju własnej silnej cywilizacji, tak więc nie są w stanie istnieć niezależnie i budować swojej struktury społecznej, tak jak inne istoty ludzkie. Powodem tego jest ich religia. Nie chcą jej odrzucić, a tak długo, jak będą się jej trzymać, nie będą mogli stanąć na własnych nogach. Ale nie musi pan im współczuć. Traktujemy ich naprawdę dobrze.

– Oczywiście... nie miałem zamiaru sugerować niczego innego – odparł Cameron. – Czy słyszał pan może o innych grupach Idsów, służących w innych galaktykach?

– Muszą być ich tysiące, niemal wszędzie. Poza Jądrem, z dala od pańskiej galaktyki, trudno jest wręcz znaleźć planetę, która nie korzysta z Idsów. To znakomity układ. Idsowie dostają to, czego chcą, a my mamy *sargh*, bez żadnych stosunków o charakterze niewolniczym, o jakich pan wspominał wcześniej. W niewolnictwo wpisany jest bunt, powodujący stałą potrzebę czujności, a nie prawdziwą wspólnotę. *Sargh*, jest kimś innym. Można określić go jako przyjaciela.

III

Tego wieczora, wydostali się z ciemności Transpace, i gwiazdy ponownie pojawiły się na niebie, panoramą gęsto skupionych słońc. Jądro Markowiańskie, leżało w galaktyce ciasno upakowanej układami gwiazdnymi, co powodowało, że noce na ich planetach, były bardzo jasne. Dla Camerona, który bardzo niewiele podróżował poza Układ Słoneczny, i dla Joyce, która w ogóle nigdy poza niego się nie ruszała, był to prawdziwy spektakl.

Kiedy statek przeszedł na inny napęd, Marthasa i Sal Karone siedzieli razem z nimi w salonie, oglądając widok na ekranach. Markowianin zmrużył na chwilę oczy i wskazał na małą kropkę w pobliżu narożnika monitora.

- Oto nasz cel. Jeszcze tylko sześć godzin i postawicie państwo stopy na najwspanialszej planecie, w całym wszechświecie!

Gdyby był to jedynie zwykły entuzjazm, Cameron przyjąłby go z tolerancyjnym zrozumieniem. Ale zadowolenie z siebie i arogancja, nie opuszczały Marthasy od samego początku obecnego etapu ich podróży. Obiektywnie, jako pewien aspekt kulturalny, który można było badać, było to nawet interesujące, ale Cameron zaczynał zgadzać się z Joyce, że żyć z tym było coraz trudniej.

Nierozwiązaną ciągle zagadką był jednakże Sal Karone. Oczywiście było, że Ids był zupełnie świadomy niezręcznego sposobu zachowania swojego Pana, ale równie oczywiste było jego oddanie, które nieodmiennie pozostawało absolutnie niezachwiane.

Marthasa wysłał przodem wiadomość do rządu, że pragnąłby, aby Terranie pozostali jego gośćmi. Ewidentnie był osobą o znacznych wpływach, ponieważ niemal natychmiast powróciła wiadomość ze zgodą.

Jego planeta była kolorowym globem, poznaczonym złotymi pustyniami i różowawymi morzami. Gęsta roślinność, porastająca nadające się do zamieszkania tereny, była niebieska, z widocznym od czasu do czasu muśnięciem zieleni. Cameron zastanawiał się nad tym, jakiego rodzaju chemia mogła za tym stać.

Wylądowali w porcie kosmicznym, graniczącym z morzem. Ich czwórka byli to jedyni pasażerowie, którzy schodzili tam ze statku, i zanim jeszcze zdążyli dojechać do granic miasta, oczekującym na nich w porcie samochodem, statek kosmiczny już wystartował w dalszą podróż.

Gniazdo piratów, pomyślał sobie Cameron, bez najmniejszego nawet śladu rozbawienia. Lądowisko wyglądało na bardzo stare i patrząc na nie, stawały mu niemal przed oczyma łupieżcze statki, startujące stąd aby

nękać odległe frachtowce i niszczyć dla rozrywki miasta i ludy na niewinnych planetach.

W trakcie jazdy przez miasto, obserwował również twarz Marthasy. W tym, co mógł zobaczyć za oknami, widać było jakiś rzymski splendor, podobnie i w Markowianinie, pełniącym rolę ich gospodarza, dostrzegało się surową rzymską dumę. Arogancja, która nie była zbyt odległa od okrucieństwa, mogła wykorzystać taką dumę do poprowadzenia statków, wyruszających na pełne mordów i rabunków misje.

A jednak całe to barbarzyństwo, zostało jakoś z nich usunięte. Pozostała tylko arogancja, wyraźnie brzmiąca w głosie Marthasy, kiedy domagał się od nich, aby zwrócili uwagę na charakterystyczne elementy miasta i krajobrazu, mijane podczas jazdy. Nie były one jakoś specjalnie piękne, przynajmniej zgodnie z gustami Terran, ale Cameron domyślał się, że dla Markowian stanowiły znaczne osiągnięcia architektoniczne. Głównym materiałem budulcowym okazał się być kamień, lecz, o ile wykonanie było bardzo staranne, zarysom budynków brakowało wdzięku oraz elegancji, greckich i rzymskich monumentów, które Cameron ciągle miał w pamięci.

Dotarli w końcu do domu Marthasy. Nie było już najmniejszej wątpliwości, że był on człowiekiem bogatym czy też ważnym -- a najprawdopodobniej i to, i to. Zajmował ogromną posiadłość, w stylu willowym, położoną na niskim wzgórzu, spoglądającym z góry na miasto. Było to w oczywisty sposób miejsce luksusowe, w skali ekonomicznej Markowian.

Przydzielono im obszerne pokoje, wychodzące przezroczystą ścianą na pełen niewiarygodnych kolorów ogród. Sal Karone został ich osobistym asystentem, co jak intuicyjnie chwycił Cameron, było ze strony Markowian gestem najwyższego zaszczytu. Podziękował więc wylewnie Marthasie, za tę uprzejmość.

Kiedy już się rozpakowali, zaprezentowano im dom i resztę posiadłości, oraz spotkali się z rodziną Marthasy. Jego żona była kobietą o znacznej urodzie, nawet zgodnie ze standardami Terran, ale w jej manierach i sposobie bycia widoczna była pewna ostrość, a w małych czarnych oczach czaił się chłód, co odstręczało Camerona i Joyce, nawet pomimo beztróskiego zachowania Marthasy.

Cameron uważnie szukał tych samych cech u trojga mniejszych dzieci, które były w domu, i odnalazł je bez najmniejszego trudu. U nikogo z nich nie wyczuwało się tej aury spokoju, jaką posiadali służący Idsowie.

Kiedy w końcu zostali sami, wieczorem, Cameron usiadł, aby sporządzić parę notatek, na gorąco, z poczynionych w ciągu całego dnia obserwacji.

- Linia uskoku, o której wspominałem ci wcześniej, jest tak dobrze widoczna, że nie sposób jej przeoczyć - powiedział do Joyce. - To wygląda tak, jakby żyli w pewien określony sposób, ponieważ uważają, że tak właśnie należy robić, ale wszystkie ich myśli i uczucia, były niezauważalnie ściągane w innym kierunku -- a oni są na wpół zawstydzeni z tego powodu.

- Być może to Idsowie mają z tym coś wspólnego. Pamiętasz stwierdzenie Marthasy, że *sargh* dają coś Markowianom? Jeżeli uda nam się dokładnie określić, na czym to coś polega, być może uzyskamy szukaną odpowiedź.

Cameron pokręcił przecząco głową.

- Próbowałem to jakoś dopasować w ten sposób do siebie, ale to wszystko po prostu nie trzyma się kupy. Podstawowym założeniem Idsów jest asceza, a w tej idei nigdy nie było żadnej siły. Marthasa prawdopodobnie nie myli się w swojej ocenie Idsów. Osiągnęli spokój wewnętrzny, ale jedynie poprzez kompensację swoich podstawowych słabości, przy pomocy surowej siły Markowian i innych ras, których się uczepiają. Nie mieli wystarczającej mocy, aby zbudować swoją własną cywilizację. Z pewnością nie mają więc również wystarczającej siły, aby wpłynąć na całe Jądro. Nie... będziemy musieli poszukać dużo dalej, niż tylko Idsów, zanim znajdziemy odpowiedź. Jestem co do tego przekonany, nawet chociaż chętnie dowiedziałbym się również, co *ich* napędza. Być może przy okazji następnej podróży...

Kolejne dni spędzili na niemal zupełnie bezużytecznych działaniach, przynajmniej z punktu widzenia podstawowego celu, z którym związany był ich pobyt w Jądrze. Marthasa i jego żona zabierali ich na długie wycieczki po mieście, oraz w co bardziej malownicze zakątki kontynentu. Obiecali im dalsze wyprawy, po całej planecie, a nawet na inne planety Jądra. To co mieli im do zaproponowania, to niekończące się zwiedzanie i turystyka.

Cameron poprawił znacznie swoje umiejętności językowe, a Joyce także zaczęła sobie jakoś radzić bez tłumacza. Zostali przedstawieni znacznej liczbie innych Markowian, włączając w to również oficjalnego przedstawiciela premiera Jargli. Spotkania te dały im dodatkowe kontakty z charakterem Markowian, ale wydawało się, że Marthasa i jego rodzina są typowymi przedstawicielami tej rasy, tak więc od kolejnych dowiedzieli się stosunkowo niewiele nowego.

Ani razu nie poczyniono najmniejszych sugestii, związanych z początkową niechęcią, odnośnie wizyty Terran w Jądrze. Obecnie, z każdej strony świadczone im wszelkie możliwe uprzejmości i Cameron nie ośmielił się nawet wspomnieć o wcześniejszych zaproszeniach do pozostania w domu. Czuł wyraźnie, że cała sytuacja dawała równie udane perspektywy przedarcia się, co gruba ściana z gąbczastej gumy, opierająca się o dziesięciostopową zaporę ze stali.

Jednak po trzech tygodniach takiej szamotaniny, Cameron zdecydował się ostrożnie poruszyć temat spotkania z synem i córką Marthasy, na temat odwiedzin w bibliotece i muzeum. Z każdym z nich spotkał się wcześniej tylko raz i stwierdził, że jego obecność przyjmowana jest przez nich raczej chłodno. Na tym etapie nie ośmielił się wyrazić swojego zainteresowania ich specjalnościami.

Sam Marthasa okazał się jednak bardzo skłonny do pomocy i skruszony.

– Miałem zamiar to zaaranżować – oświadczył. – Ale było tak wiele innych rzeczy do zrobienia, że zaniedbałem państwa zainteresowania w tych sprawach. Nie możemy pomijać tego ani chwili dłużej. Przypuśćmy, że zorganizujemy spotkanie dzisiaj popołudniu? Zlenon będzie mógł zapewnić państwu swoją osobistą pomoc.

Zlenon był synem Marthasy, który zajmował stanowisko kierownika Działu Historii w bibliotece naukowej. Był szczuplejszy i ciemniejszy niż ojciec, oraz brakowało mu jego potoczystości mowy i zręczności obycia.

Prośbę Camerona, przyjął z tolerancyjnym uśmiechem.

– Panie Wilder, kiedy mówi pan, że chciałby pan poznać historię Jądra Markowiańskiego, musi pan być znacznie bardziej precyzyjny. Rozumie pan chyba, że Jądro składa się z ponad setki planet, i ma złożoną historię, rozciągającą się w przeszłość, na ponad trzydzieści tysięcy pańskich lat, udokumentowaną w bardzo dokładnych szczegółach.

Cameron przyznał mu pozornie absolutną rację, z bezradnym wzruszeniem ramion i uśmiechem.

– Obawiam się, że będę musiał zdać się tutaj na pańską uprzejmość, że przeprowadzi mnie pan przez tę masę informacji. Oczywiście, nie zamierzam zostać studentem markowiańskiej historii, ale być może macie jakieś odpowiednie sumaryczne opracowania, od których mógłby rozpocząć dyletant. Sięgające w przeszłość, powiedzmy, na dwieście, może trzysta terrańskich lat?

– Oczywiście... mamy i to naprawdę doskonale... – Podszedł do stojącego w pobliżu stołu dla czytelników, i zaczął uderzać w klawisze, pozwalające na wybranie odpowiedniej książki.

Kiedy Cameron i Joyce chcieli pójść za nim, Marthasa ze swobodą machnął w ich stronę ręką i ruszył w drugą stronę.

– Widzę, że to wszystko zajmie państwu dłuższą chwilę. Po prostu zostawię państwa tutaj, i kiedy dojadę do domu, odeślę tu samochód dla państwa. Proszę nie spóźnić się na kolację.

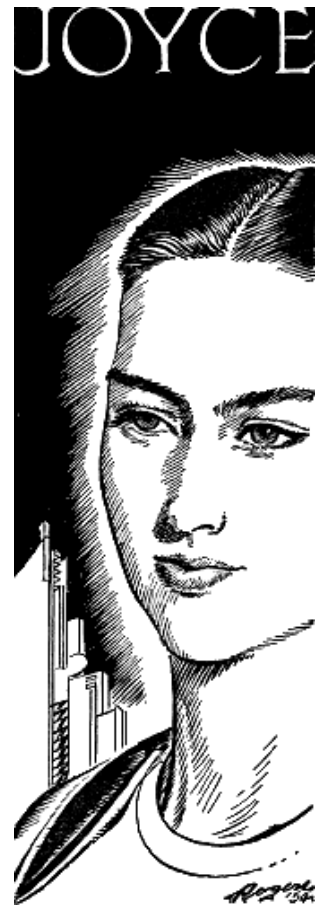
Skinęli mu głowami z uśmiechem, i odwrócili się w stronę Zlenona. Markowianin przyglądał się im ze zwięzonymi oczyma.

– Zastanawiałem się, czy jest może jakiś szczególny problem, którym mogliby być państwo szczególnie zainteresowani – oświadczył spokojnie. – Jeżeli jest coś...?

Cameron pośpiesznie pokręcił przecząco głową.

– Nie... Z pewnością nie. Po prostu ogólne informacje...

Historyk zajął się ponownie obsługą stołu, objaśniając przy tym Terranom system jego użycia, i pokazując w jaki sposób mogą otrzymać



zapis każdego z materiałów, jaki będą chcieli wybrać. Mógł on zostać przedstawiony zarówno w formie drukowanej, jak i obrazkowej, a nawet gdyby sobie tego życzyli, w formie nagrania audio. Kiedy upewnił się, że potrafią samodzielnie dokonać wyboru, zostawił ich samych z ich badaniami.

– To jest chyba najlepszy przełom, na jaki mogliśmy mieć nadzieję – wyszeptała Joyce, kiedy Zlenon zniknął im z zasięgu wzroku. – Możemy, z całej tej biblioteki, dostać wszystko, cokolwiek chcemy, jeżeli rozumiem działanie tego przyrządu tak, jak on rzeczywiście działa.

– Dla mnie to również tak wygląda – odparł Cameron. – Ale nie rozbudzaj za bardzo swoich nadziei. Gdzieś w tym musi tkwić jakiś haczyk, biorąc pod uwagę sposób, w jaki próbowali powstrzymać nas przed przyjściem tutaj.

Wciskając przyciski, związane z historią planety, na której przebywali, przeglądali powoli kolejne materiały, zagłębiając się w przeszłość, od czasów współczesnych w coraz odleglejsze lata. Znaleźli tam niekończące się spisy rachunków handlowych i umów komercyjnych pomiędzy planetami członkowskimi Jądra, obrazujące występujące przesunięcia równowagi ekonomicznej. Przeglądali opisy działań eksploracyjnych i przyjaznych kontaktów z rasami zamieszkującymi planety na zewnątrz. Szczegóły najwspanialszych odkryć naukowych Markowian, które zdawały się następować po sobie z niesamowitą szybkością...

Cameron przebijał się przez kolejne strony dzieł historycznych, szukając choćby jednego punktu, jednego akapitu, na temat tak szybkiej ewolucji od fazy barbarzyństwa, do stanu pokojowej współpracy. Po godzinie, znajdował się pośrodku tego krytycznego okresu, kiedy to Rada rozpaczliwie okazywała swoją niezdolność do poradzenia sobie z zagrożeniem ze strony Markowian.

Ale historia handlu, nauki i wynalazczości, oraz dalekosiężnej wymiany z innymi ludami, ciągnęła się dalej. Nigdzie nie było żadnej wzmianki na temat pełnego przemocy charakteru tego okresu. Zagłębili się w przeszłość na dwieście -- potem na pięćset -- lat, docierając do czasów poprzedzających kontakty pierwszych członków Rady z Jądrem.

Nie było tam kompletnie niczego.

Kiedy oczywisty stał się bezsens dalszego posuwania się, w coraz bardziej odległą przeszłość, Cameron usiadł na krześle, z kompletnym mętlikiem w głowie.

– W normalnej sytuacji, oni powinni chełpić się wszędzie, gdzie tylko się da, swoimi wielkimi podbojami. Nawet rasy, które współcześnie stały się stosunkowo cywilizowanymi członkami społeczności, zazwyczaj pozwalają sobie na tego typu rzeczy, kiedy idzie o rozważania historyczne. Jeżeli mają za sobą długie rejestry podbojów i rozlewu krwi, to opowiadają o tym nieustannie, bębniąc tryumfalnie w piersi. Oczywiście wszystko to zazwyczaj jest starannie opakowane, aby odzwierciedlało ich sprawiedliwą

walkę przeciwko tyranii, i tak dalej, ale tego typu rzeczy, w *jakiejś* formie, zawsze tam są.

Rozłożył ręce i mówił dalej:

– Ale tutaj nie tylko że nie ma zupełnie nic o rozwoju problemu Markowian, to jeszcze więcej -- kompletnie pominięto wszystkie odniesienia do ich zbrojnych podbojów.

– Być może ta planeta nie brała w nich aż tak poważnego udziału. Może tylko niewielka liczba planet Jądra była za to odpowiedzialna – powiedziała Joyce.

Cameron pokręcił przecząco głową.

– Nie. Zapisy historyczne Rady twierdzą, że odpowiedzialne było za to Jądro jako całość, i w zasadzie wszystkie planety zostały szczegółowo w nich wymienione. A nawet, gdyby akurat właśnie ta, była zupełnie poza tym procesem, to nadal należałoby oczekiwać choćby wzmianek na ten temat, ponieważ zachodziła ciągła wymiana informacji w większości pozostałych planet. Możemy spróbować jakiejś innej, ale...

Spróbowali więc następnej planety, a potem pobieżnie przejrzeni historię jeszcze kilku kolejnych. Szybko przestudiowali podsumowanie całej historii Jądra w czasie tego krytycznego okresu.

Nie było niczego wskazującego na to, że Markowianie mogli kiedykolwiek być kimś innym, niż kochającymi pokój obywatelami, nastawionymi na rozwój nauki, handlu i sztuki.

– To mogło zostać przygotowane specjalnie na nasze przybycie – stwierdziła w zamyśleniu Joyce, kiedy zakończyli dzień daremnych poszukiwań. – Nie chcieli stosować wystarczająco silnych nacisków, aby powstrzymać nas przed przyjazdem, ale chcieli się również upewnić, że nie znajdziemy zupełnie nic, na temat ich prawdziwej przeszłości.

Cameron powoli pokręcił przecząco głową.

– Nie dałoby się tego zrobić w tak krótkim czasie, jaki mieli do dyspozycji. Nie załatwiłoby tego proste powycinanie wszystkich informacji, jakich nie chcieli nam pokazać. Za dużo jest różnego rodzaju odnośników i powiązań, do wszystkich okresów historycznych, które wchodzi w grę. To kompletna fałszywka, ale nie mogła ona zostać zrobiona ad hoc, na szybko, tylko na nasze potrzeby. To jest za dobre, jak na coś takiego.

– Być może mieli to przygotowane już od dawna -- tak na wszelki wypadek, gdyby przyplątał się ktoś taki jak my.

– To możliwe, ale nie wydaje mi się, żeby była to prawda – odparł Cameron. – Nie mogę dać ci żadnych dowodów na poparcie mojego sposobu myślenia, poza tym, że to fałszerstwo idzie głębiej niż byłoby to potrzebne dla zwykłego zwiedzenia przypadkowych badaczy. Jakoś mam wrażenie, że Markowianie oszukują nawet samych siebie!

Wyszli z budynku nie spotykając się ponownie ze Zlenonem i wrócili samochodem do domu Marthasy. Ich markowiański gospodarz już na nich czekał. Kiedy Marthasa poprowadził ich do stojących w ogrodzie siedzeń,

Cameronowi wydawało się, że wyczuwa w nim cień napięcia, którego nie było wcześniej.

– Nie lubimy przechwalać się naszym Jądrem – oznajmił ze swoją zwykłą łatwością konwersacji, – ale musimy przyznać, że jesteśmy dumni z naszych osiągnięć naukowych i technologicznych. Zaledwie kilka cywilizacji we Wszechświecie, byłoby w stanie im dorównać. Proszę mnie nie zrozumieć źle, to nie tak, żebym chciał dyskredytować wspaniałe osiągnięcia Terran, ale to naprawdę naturalne, że tutaj, na tych starszych planetach...

Słuchali, poświęcając jego słowom tylko połowę uwagi, próbując w myślach przebić pancierz gładkich słówek, używany przez niego aby tak szaleńczo bronić sprawy, której Markowianie nie chcieli ujawnić przed przybyszami z położonych poza Jądrem planet.

Rozmowa miała dalszy ciąg podczas posiłku. Żona Marthasy podchwyciła jej ducha i oboje zasypywali Terran opisami wspaniałych osiągnięć Markowian. Cameron czuł się tym wszystkim coraz bardziej przytłoczony i kiedy wcześniej udali się do swoich pokoi na odpoczynek, zaczął sobie uświadamiać, jak absolutny i kompletny był ten impas, do którego zostali zepchnięci.

– Wpuścili nas tutaj – powiedział do Joyce. – Pokazali nam historię, którą sami dla siebie napisali. I nie ma żadnego sposobu we Wszechświecie, abyśmy mogli stanąć naprzeciw nich i rzucić im wyzwanie, zaprzeczając tej historii oraz nazywając ich kłamcami, którymi jak wiemy są.

– Ale przecież oni muszą wiedzieć o pracach historycznych na temat ich czynów, pisanych na innych należących do Rady planetach – pocieszała go Joyce. – Być może uda nam się znaleźć jakieś miejsce, w którym moglibyśmy przynajmniej o to zapytać. Zapytać, jak to jest, że zgodnie z pracami innych historyków, sto dwadzieścia lat temu, flota markowiańskich statków przemknęła się przez kosmos i z zaskoczenia złupiła i zdiesiątkowała ludność planety Lakcaine VI. Zapytać dlaczego markowiańska historia stwierdza tylko, że w tym okresie, Jądro zawarło sześć nowych traktatów handlowych, ku wspólnej korzyści wszystkich planet, które były ich sygnatariuszami, natomiast nawet nie wspomina o Lakcaine VI.

– Kiedy zaczniesz zadawać takie pytania, będziesz musiała być gotowa do ucieczki. Ponadto jeżeli to spali na panewce, to stracisz wszelkie szanse na powrót tutaj, w celu wykonania kolejnej próby. A coś takiego może dosyć łatwo skończyć się niepowodzeniem, ponieważ oni po prostu zaprzeczają prawdziwości wszystkich prac historycznych, poza ich własnymi.

– Tyle że, jeśli nie masz zamiaru zarzucić kłamstwa temu chłamowi, który nam dali do ręki, to równie dobrze możemy spakować się i lecieć do domu. Nie znajdziemy odpowiedzi, tylko stojąc i przyjmując za dobrą monetę, ich słowa na temat wszystkich spraw.

– Zapomniałem powiedzieć ci o jednej rzeczy – powoli oznajmił Cameron. – Nie musimy w tej sprawie przyjmować wyłącznie ich słów. Jest jeszcze ktoś, kto zna całą prawdę na temat tej sytuacji.

– Kto?

– Idsowie.

Opowiedział jej potem o ostrzeżeniu jakie przed wejściem na pokład statku, po drodze do Jądra, przekazał mu Sal Karone. Przytoczył jego stwierdzenie: „Moi Panowie, są narodem, który na razie nie może zostać właściwie zrozumiany przez ludzi z innych planet”.

– Idsowie wiedzą jacy Markowianie są naprawdę, i co próbują ukrywać. Niemalże przeoczyłem ten oczywisty fakt.

– Ale przecież dokładnie tak samo jak w przypadku Markowian, nie możesz wyjść na ulicę i wezwać ich, aby powiedzieli prawdę! – zaprotestowała Joyce. – Przecież tylko na podstawie tego, że Sal Karone wyszedł na chwilę ze swojej roli, żeby ci ostrzec, nie możesz twierdzić, że ma zamiar stać się twoim prawdziwym kumplem i powie ci wszystko, czego chcesz się dowiedzieć.

– Nie, oczywiście, że nie. Ale między nim, a Markowianami jest pewna drobna różnica. On otwarcie przyznał, że wie po co tutaj się znaleźliśmy. Żaden z Markowian jeszcze tego nie zrobił. Nie musimy zarzucać mu kłamstwa, ponieważ już i tak istnieje między nami ciche zrozumienie, że coś tutaj jest zdecydowanie nie w porządku.

Po chwili dodał:

– Poza tym, zapraszał nas, abyśmy pojechali i odwiedzili społeczności Idsów poza miastem. Wydaje mi się, że powinniśmy przyjąć to zaproszenie, najszybciej jak to tylko będzie możliwe.



IV

Sal Karone nie powtórzył swojego zaproszenia do odwiedzin Terran w społeczności Idsów, ale nie zareagował niechętnie, ani nie zgłaszał sprzeciwu, kiedy Cameron oświadczył, że chętnie skorzystaliby z jego poprzedniej oferty.

– Zostanie pan mile powitany – odparł. Delikatny uśmiech rozjaśnił mu twarz. – Zawiadomię moich przywódców, że państwo przybędą.

Z zaskoczeniem Cameron uświadomił sobie, że istnienie jakiegoś rodzaju społeczności, prawdopodobnie implikuje również istnienie przywódców, ale on zignorował ten fakt, w świetle zapewnień Marthasy, że Idsowie nie mają żadnej własnej cywilizacji. Zastanawiał się tylko, jak bardzo nieprawdziwe mogło być to twierdzenie.

Kiedy wspomniał Marthasie o swoich planach wyjazdu z Salem Karone do centrów Idsów, po raz pierwszy wyczuł w postawie Markowianina prawdziwą dezaprobatę.

– Tam, za miastem, nie ma nic, co chciałby pan zobaczyć – oponował Marthasa. – Ich wioski, to tylko skupiska prymitywnych chat, w lesie. Wyjazd za miasto, będzie stratą pańskiego czasu, podczas gdy tak wiele jest jeszcze rzeczy, które moglibyśmy panu pokazać.

– Sal Karone zasugerował tę wizytę kiedyś, jeszcze przed naszym przyjazdem – stwierdził Cameron. – Poczuliście się urażony, gdybyśmy teraz odrzucili jego propozycję. Choćby po to tylko, aby go usatysfakcjonować...

W głębi oczu Marthasy mignęło gniewne niezdecydowanie.

– No cóż... to może rzuca inne światło... – w końcu oświadczył. – Staramy się robić wszystko co tylko możliwe, aby uszczęśliwić Idsów. Jeżeli chce pan marnować swój czas na tę wizytę, to zależy tylko od pana.

– Wydaje mi się, że zdecyduję się na to. Sal Karone był bardzo pomocny i miły dla nas. To tylko niewielka przysługa w rewanżu za jego uprzejmość.

Dwa dni później, wczesnym rankiem, wyjechali z Salem Karone, kierując się do centrum Idealistów. Odkryli wkrótce, że termin „na skraju miasta”, był zwykłym eufemizmem. Była to długa, dwugodzinna podróż, nawet przy maksymalnej szybkości, z jaką mogły jeździć markowiańskie samochody.

Mniej więcej w połowie drogi, samo miasto zniknęło, a jego miejsce zajęły tereny porośnięte gęstym lasem, przypominającym im parę odległych, spokojnych zakątków leśnych na Ziemi. Potem, samochód zwolnił i zjechał z autostrady, na prymitywny szlak, który poprowadził ich

na wiele mil w głąb lasu. W końcu dojechali na polanę, otoczoną przez zgrzebne drewniane domostwa, tworzące obraz prymitywnego życia, na poziomie nieco tylko powyżej zwykłego przetrwania.

– To jest wioska naszego Przywódcy – powiedział Sal Karone. – On z przyjemnością wyjaśni państwu wszystko, co tylko będziecie sobie życzyli, na temat Drogi Idealistów.

Cameron był tak mocno wstrząśnięty pierwszym wrażeniem jakie sprawiała polana, że niemal odebrało mu mowę. Próbował wcześniej przygotować się na najgorsze, ale mówił sobie, że przekazywana przez Markowian ocena Idsów nie może być prawdziwa. Teraz zmuszony był przyznać, że jednak była. Mając kontakt z całą wiedzą swoich Panów, którą z pewnością pozwolono by im wykorzystać, gdyby tylko chcieli, Idsowie kiedy byli na swoim, wybierali prymitywną obskurność.

Ich spokój wewnętrzny, mógł niewiele odbiegać od spokoju dzikusa, który nie ma żadnych potrzeb, ani nie stawia sobie żadnych celów, zadowolając się tylko tym, by służyć innym, wykazującym się większymi od jego ambicjami. To byłby spokój i opanowanie śmierci. Oznaczałby, że Idsowie umarli -- jako rasa -- już dawno temu. Markowianie byli hałaśliwi, chełpliwi i okropni, ale to mogło zostać potraktowane jako przejaw niezdarnej młodości rasy, która może stać się jedną z największych we Wszechświecie, w czasach kiedy Idsowie zostaną już całkowicie zapomniani.

Cameron na ten widok, poczuł przygnębienie. Zaczął wątpić w rozsądek swojego przyjazdu tutaj, w nadziei znalezienia odpowiedzi na fałszerstwo Markowian. Ostrzeżenie Sala Karone, przekazane przed wejściem na statek, wydawało się teraz niczym więcej, jak tylko na wpół ignorancką demonstracją lojalności wobec markowiańskich Panów. Być może odbywały się jakieś rozmowy, przypadkiem podsłuchane przez Idsa, które skłoniły go do przekazania ostrzeżenia Terranom -- pomimo że może nawet nie wiedział niczego o sprawach, których Markowianie nie chcieli ujawnić.

Jeżeli faktycznie była to tylko zręczna akcja Sala Karone, to Cameron czuł, że może obrócić się do tyłu i wracać, nie przejmując się rozmową. Jego ciekawość co do samych Idsów, niemal zupełnie wyparowała. Odpowiedź na sytuację w jakiej się znaleźli, była oczywista. A on pielęgnował w duszy takie wspaniałe nadzieje, że w jakiś sposób jego oczekiwania, mogłyby zostać spełnione podczas tej wizyty.

Kiedy Sal Karone poprowadził ich w stronę największego z budynków, rzucała się w oczy panująca tutaj wszędzie czystość. Joyce wydawała się dobrze bawić wizytą, przyglądając się otoczeniu z zainteresowaniem, które utracił Cameron.

Kiedy weszli przez drzwi, od stołu wstał jakiś szczupły, wyprostowany starszy człowiek, z białą brodą, który podszedł do nich, aby ich powitać. Starodawny, konwencjonalny, patriarchalny porządek, pomyślał sobie Cameron. Dostrzegał już zarys struktury całego tego układu. W słabych społecznościach, takich jak ta, zbyt starzy i zbyt młodzi karmili się nawzajem skostniałymi tradycjami, do których nie można było dodać absolutnie niczego, w żadnej sytuacji. Zdolni do służby w domach

Markowian, zarabiali tam na życie, dla siebie i dla tych którzy byli od nich zależni. Markowianie byli rzeczywiście wspaniałomyślni, nie odnosząc się do Idsów, jak do niewolników. Niewiele było innych terminów, jakimi można by ich było określić.

Przywódca, któremu zaprezentował ich Sal Karone, został przez niego przedstawiony jako Venor.

– To bardzo uprzejmie z państwa strony, że włączyli państwo naszą wioskę do programu swojej wizyty w Jądrze – oznajmił Venor. – Jest wiele znacznie bardziej spektakularnych rzeczy do oglądania.

– Często tak się zdarza, że prawdziwa mądrość nie jest specjalnie spektakularna – zrewanżował mu się Cameron, starając się, aby zabrzmiało to rozumnie. – Sal Karone był na tyle uprzejmy, że zaprosił nas do waszego centrum i opowiadał, że możecie nam tu bardzo wiele pokazać.

– Duchowych spraw nie można *pokazać* – delikatnie zauważył Venor. – Chcielibyśmy, aby nadeszły czasy, kiedy moglibyśmy nauczyć was niektórych wielkich rzeczy, jakie nasi rodacy poznali podczas swoich długich wędrówek. Mówiono mi, że pańskim zawodem i celem pańskiego przybycia tutaj, jest badanie społeczeństw, ich działań i tego, czego one się dowiedziały.

Z zaskoczeniem, Cameron natychmiast zaczął poświęcać mu więcej uwagi. Był pewien, że nigdy nie udzielał nikomu takich informacji, w obecności Sala Karone czy też Marthasy. A jednak nawet Venor wiedział o tym, że jest socjologiem! To była podstawowa informacja, stanowiąca przesłankę, jaka musiała stać za zakulisowymi sprzeciwami przedstawiciela Markowian w Radzie i premiera Jargli.

I ten prymitywny patriarcha, był w jej posiadaniu.

Stosunki między poszczególnymi osobami na tej planecie, były czymś daleko bardziej złożonym, niż to Cameron zakładał. Zawahał się przez chwilę, zanim się odezwał. Tylko dlaczego ta przynęta została rzucona mu tak niewinnie. Marthasa nigdy o tym nie wspominał. Czy może Markowianie podjęli próbę, by wykorzystać jego przyznanie się, do własnych celów? Ale jakie cele...?

Zrezygnował z ostrożności i skinął potwierdzająco głową.

– Tak, to są sprawy, którymi jestem zainteresowany. Miałem nadzieję przestudiować historię i sposób życia Markowian. Zgodnie z tym co uświadomił mi Sal Karone, nie życzą oni sobie, aby obcy wykonywali takie badania. Czy może wy nie wykazujecie takiej niechęci, do tego by was poznać... ?

– Chcielibyśmy, aby cały Wszechświat mógł nas poznać i był tacy jak my.

– Bardzo to utrudniacie, przez tak kompletne podporządkowanie swojej tożsamości, jakiejś drugiej rasie. Inne planety nie będą w stanie was poznać, chyba że staniecie się silni oraz zjednoczeni jako naród, i przyjmiecie swoją własną nazwę.

– Nasza nazwa jest dosyć dobrze znana – odparł Venor. – Jesteśmy Idealistami. Nie znajdzie pan zbyt wielu planet, na których by o nas nie słyszano, i wszyscy mówią o nas, jako o tych, którzy służą. Nawet na

waszej planecie, macie nauki filozofa, który powiadał, że każdy kto chciałby być panem, powinien stać się sługą wszystkich. Pańscy rodacy kiedyś to zrozumieli.

– Ale nie chodzi tutaj o zobowiązanie w sensie dosłownym – sprostował Cameron. – Nie możecie zanurzać całej swojej tożsamości rasowej, tak jak to robicie. Te nauki, nie to miały na myśli.

– Dla nas, tak – poważnie oświadczył Venor. – Chcielibyśmy panować nad Wszechświatem -- i dlatego musimy mu służyć. To jest sedno praw Idealistów.

Cameron powiódł spojrzeniem poza oknem, po małej polanie w gęstym lesie, po kręgu drewnianych domów. *Chcielibyśmy panować nad Wszechświatem* -- powstrzymał się od uśmiechu.

– Nie może pan w to uwierzyć – stwierdził Venor, – ponieważ nigdy pan nie rozumiał oznak służby oraz oznak panowania. Jak często trudno jest odróżnić jedno od drugiego!

I jak często złudzenia ducha, łagodzą niedostatki ciała, pomyślał sobie Cameron. A więc, to było źródło spokoju Idealistów. Gdziekolwiek by się nie udali, uważali się za panów, przez swoją służbę -- i odwrotnie, jak przypuszczał, ci którym służyli, stawali się ich niewolnikami. To była sympatyczna, łatwa filozofia, która nikomu nie robiła krzywdy. Poza tymi, którzy w nią uwierzyli. Umarli w chwili, kiedy ją przyjęli, ponieważ uleciała z nich cała inicjatywa i wszelkie pragnienia.

– Panem jest ten, kto kieruje przeznaczeniem człowieka, albo całej rasy – powiedział Venor, niemal medytacyjnym tonem. – Nie rządzi człowiek, który zbiera lub rozdziela bogactwa, albo ten który buduje miasta i latające do gwiazd statki. Panem jest ten, kto uczy, co należy robić przy pomocy tych rzeczy, oraz tego jak ludzie powinni dysponować swoim życiem.

– I Markowianie robią to, zgodnie z waszymi życzeniami? – ironicznie spytał Cameron.

– Gdziekolwiek pojawiają się moi rodacy – oświadczył Venor, – ustają konflikty i panuje pokój. Kto potrafi tego dokonać, jest panem tych miejsc.

Z głosu i postaci starego Idealisty, biła jakaś dziwna powaga, która powstrzymała prześmiewcze uczucia przepęłniające Camerona. Wydawała się ona w swoisty sposób, niesamowicie poruszająca.

– Wierzycie, że świat robi się gdzieś lepszy – spytał delikatnie, – tylko dlatego, że wy tam jesteście?

– Tak – odparł Venor. – Właśnie dlatego, że tam jesteśmy.

W jego słowach zabrzmiał pewien patos, który rozpałił gniew Camerona. Na dziesiątkach planet istniały pierwotne grupy, podobne do tej, przypisujące sobie nie istniejącą chwałę, powiązaną ze starodawnymi, pozbawionymi znaczenia tradycjami. Ci młodszy, tacy jak Sal Karone, byli inteligentni, warci uratowania, ale nie byli w stanie wydobyć się z tego błota fałszywych wierzeń, chyba że pozwolą sobie pokazać, jak puste one były.

– Nic z tego, co nam pan powiedział, nie wyjaśnia tajemnicy sposobu osiągnięcia tej wielkiej rzeczy – oznajmił Cameron, niemal gniewnym tonem. – Nawet gdybyśmy chcieli uwierzyć w ich prawdziwość, ciągle to wszystko jest zupełnie niepojęte, tak samo jak przed naszym przybyciem do was.

– Mamy u nas pewne powiedzenie – uprzejmie stwierdził Venor. – Przetłumaczone na wasz język, brzmiałoby mniej więcej tak: W jaki sposób został oswojony dziki pies, i siodło założone na nieujarzmionego rumaka?

Po tym enigmatycznym stwierdzeniu, Venor z uporem nie chciał już więcej mówić, o filozofii Idealistów. Swobodnie opowiadał o wielu innych planetach, na których żyli i służyli Idealiści, potwierdził również pogłoskę, że nawet nie znali miejsca swojego pochodzenia, planety którą mogliby nazwać swoją ojczyzną.

Jednak kiedy Cameron zapytał o to kiedy nawiązane zostały pierwsze kontakty między jego ludem i Markowianami, odpowiedział wymijająco. A więc, pomyślał sobie socjolog, istniały jakieś sprawy, które także Idealiści utrzymywali dla siebie, pomimo że nie było po temu żadnego widocznego powodu.

Beztrąsko zdecydował, że nic nie może stracić, jeśli spróbuje bezpośrednio uderzyć w samo sedno.

– Dlaczego Markowianie nieustannie nas okłamują? – spytał wprost. – Przekazali nam informacje o swojej historii... a jeżeli wy, Idealiści, znacie uczucia panujące na innych planetach, to wiecie że historia ta jest zwykłym kłamstwem. Zaledwie parę pokoleń temu Markowianie uprawiali piractwo i plądrowali te planety, a teraz robią z siebie figurki świętych, ze srebrnymi aureolkami. Dlaczego?

Sal Karone stał obok nich bez ruchu, z wyrazem zgrozy na twarzy, ale Venor nie okazał żadnej oznaki zaniepokojenia, tym zabronionym pytaniem. Nachylił tylko powoli głowę i powtórzył:

– W jaki sposób został oswojony dziki pies, i siodło założone na nieujarzmionego rumaka?

To był już koniec rozmowy. Idsowie nalegali jednakże, na obejrzenie reszty wioski i osobiście oprowadzili po niej Terran. Wyćwiczone oko Camerona, już po kilku pierwszych spojrzeniach, wychwyciło dowody wspierające jego poprzednie konkluzje. Przedmioty i budynki stanowiły przykłady prymitywnej kultury leśnej. Inni ludzie, których napotkali we wiosce, byli niemal w każdym przypadku albo starzy, albo bardzo młodzi – byli to ci, którzy nie nadawali się do służby u Markowian. Venor wyjaśnił mu, że życie rodzinne pośród nich, odzwierciedlało generalnie życie Panów. Całe rodziny Idealistów mieszkaly i służyły jako zespoły, w gospodarstwach domowych Markowian. Istniały pewne wyjątki, jak w

przypadku Sala Karone, czy innych w jego wieku, którzy zostali rozdzieleni ze swoimi rodzinami, albo ich jeszcze nie założyli.

Kiedy wrócili do samochodu, Venor wziął ich za ręce. Ciepło uściśnął Camerona i popatrzył mu w oczy z głęboką szczerością.

– Pańska obecność tutaj, przysporzyła nam wiele radości – powiedział.
– A kiedy nadejdzie chwila, że wróci pan do nas, odpłacimy panu za całą przyjemność, jaką pan nam sprawił.

– Obawiam się, że nie będziemy tego w stanie zrobić – odparł Cameron. – Doceniamy pańską gościnność, Ale jestem niemal pewien, że czas nie pozwoli nam na kolejną wizytę u pana, pomimo że sprawiłoby to nam olbrzymią przyjemność.

W czasie ostatnich kilku minut, doszedł do wniosku, że dalsze badania na tej całej planecie, są daremne. Najlepszą rzeczą, jaką mogli zrobić e obecnej sytuacji, to udać się gdzie indziej, na terenie Jądra, i rozpocząć wszystko od początku.

Venor pokręcił przecząco głową, uśmiechając się.

– Wkrótce się znowu zobaczymy, Joyce i Cameronie. Czuję, że ten dzień nadejdzie bardzo szybko.

Bez sensu było wpadać w irytację z powodu podstarzałego patriarchy, który mówił do niego ze świata swoich iluzji, ale Cameron nie mógł nic na to poradzić, że gdy wyruszyli z powrotem do miasta, czuł lekkie rozdrażnienie, W jakiś sposób, wydawało mu się niemożliwe, aby traktować Venora jak zwykły obiekt badań socjologicznych. Przywódca Idealistów, wyszedł ze swojego nierealnego świata i uczynił z kontaktu z Terranami, sprawę osobistą -- niemal tak, jakby spędził całe swoje życie w oczekiwaniu na ich przyjazd. Pojawiło się między nimi uczucie pewnej bliskości, przeciwko któremu Cameron się buntował, a jednak nie było ono rzeczą niemiłą.

Myśli Camerona oscylowały między rozdrażnieniem z powodu spokojnego twierdzenia Venora, na temat ich rychłego powrotu, i bezsensowności wierzeń Idsów, że kontrolowali oni cywilizacje, w których pełnili funkcje służących. W jaki sposób został oswojony dziki pies, i siodło założone na nieujarzmionego rumaka?

Uśmiechnął się do siebie blado, zastanawiając się, czy Markowianie byli w pełni świadomi tego, że Idsowie traktowali ich jak oswojone psy i osiodłane rumaki. Oczywiście, wiedza ta niewiele by zmieniła, ale trudno było sobie wyobrazić, że Marthasa i jego żona przyjęliby taką ocenę z wielkim rozbawieniem. Gdyby spotkała się ona z czymkolwiek innym, niż tylko rozbawienie, sytuacja mogłaby stać się trudna do zniesienia. To była kwestia lekko wybuchowa, ale tym niemniej Cameron zdecydował, że przed wyruszeniem dalej, ma zamiar dowiedzieć się więcej o tym drobnym elemencie.

Przez całą podróż powrotną, Sal Karone był dziwnie milczący. Nie wygłaszał żadnych komentarzy i udzielał tylko krótkich, obojętnych odpowiedzi, na pytania dotyczące terenów, przez które przejeżdżali.

Wydawał się być przygnębiony wynikami ich wizyty. Prawdopodobnie, z powodu zignorowania jego ostrzeżenia, aby nie wypytywać o życie Markowian. Był to ciekawy dowód jego kompletnie nierealistycznego, właścicielskiego nastawienia, w stosunku do swoich Panów. Będzie musiał przeanalizować odpowiedzi Marthasy, na pytania które miał mu zamiar postawić, tak gruntownie jak to tylko będzie możliwe. Zdaje się, że nie było żadnego tabu, na dyskusję z nim o Idsach.

Rozdrażnienie Marthasy wywołane przyjęciem zaproszenia do wioski Idsów, zdawało się zniknąć, kiedy powitał ich po powrocie.

– Opóźnił się posiłek, spodziewając się że powinniście państwo niedługo wrócić. Mam nadzieję, że przyłączycie się państwo do nas w jadalni, zaraz jak tylko się przygotujecie...?

Villa Marthasy, po doświadczeniach tego dnia, w siedzibie Idsów, wydawała się być jakoś zupełnie odmieniona, chociaż Cameron był pewien, że nic się tu nie zmieniło, zarówno pod względem fizycznym, jak i w ich relacjach z Markowianami. Odbierał to tak, jakby jego zmysły w jakiś sposób się wyostrzyły, wykrywając pewne ukryte uczucia, których poprzednio nie był świadomy. Obrzucając wzrokiem Joyce, wyczuł, że ona odniosła takie samo wrażenie.

– Czuję się tak, jakby coś nam umykało – stwierdziła, kiedy zmieniali ubrania, aby przyłączyć się do Marthasy i jego żony. – Było coś, czego Venor nie mógł nam powiedzieć, a chciałby, żebyśmy wiedzieli. Niemalże mam ochotę pojechać tam jeszcze raz, zanim stąd odleciemy.

Camerona zaskoczyło rozdrażnienie, jakie w nim wezbrało w odpowiedzi na stwierdzenie Joyce. Była ona zbyt bliska pewnych wrażeń w jego własnej głowie, które próbował ignorować.

– Nonsens – odparł. – Nie ma sensu próbować doszukiwać się wielkiej głębi, w słowach starego patriarchy lasów. On jest tylko tym, na kogo wygląda.

Markowianie swobodnie rozmawiali na temat Venora i reszty Idsów.

– Próbowaliśmy namówić go, żeby przyłączył się do nas w mieście – powiedział Marthasa, kiedy rozpoczął się posiłek, – ale nie chciał tego słuchać. Zdaje się, że samotne życie, tam w lesie, razem z otaczającą go świtą i innymi Idsami przybywającymi do niego ze swoimi problemami, daje mu poczucie ważności. Jest dla nich wszystkich, mieszkających dookoła, w odległości wielu mil, kimś w rodzaju arbitra i patriarchy.

Kiedy Marthasa mówił, Cameron próbował poskładać razem swoją wiedzę na temat różnych aspektów problemu Markowian, i spojrzeć na niego, jako na pewną całość, tak jak to wszystko rozumiał obecnie. Markowianie byli ogromną społecznością piracką, która z własnej woli porzuciła grabież, dla powodów, które nie zostały jeszcze odkryte. Odwrócili się do niej plecami, z takim uporem, że pogrzebali głęboko nawet historię swojego łupiestwa. A jednym z ostatnich aktów ich działalności, musiało być zdobycie dużej kolonii Idealistów, których siłą obrócili w służących. Teraz zaś Idsowie kompensowali swoje zniewolenie, przy pomocy wierzeń religijnych, że służba ta czyni z nich panów, rządzących byłymi piratami, przekonując samych siebie, że to oni zmienili

Markowian, oswajając ich jak dzikie psy, siodłając ich jak nieujarzmione rumaki...



Cameron zastanawiał się, czy nie będzie to zbyt śmiałe posunięcie, ale potem odrzucił myśl, że mogłoby w tym tkwić jakiegokolwiek ryzyko. To byłoby zbyt śmieszne!

Kiedy wciągał Marthasę w konwersację, na jego wargach przewijał się nawet, na wpół złośliwy uśmieszek.

– Jedną z rzeczy, która dzisiaj wywołała u mnie spore zaciekawienie – zagał rozmowę, – to ewentualna reakcja pańskich rodaków, na złudzenia Idealistów, że to oni was *oswoili* -- tak jak to oni określają w pewnym swoim aforyzmie, o dzikim psie który został...

Nigdy nie dokończył swojego zdania. Twarze siedzących po drugiej stronie stołu Markowian, zastygły nagle w wyrazie twardego zgorzknienia. Maskę życzliwości rozplynęła się w blasku zimnego gniewu płonącego im w oczach.

Wargi Marthasy zdawały wykrzywiać się z obrzydzenia, kiedy wyszeptał:

– A więc pan też jest taki sam, jak cała reszta! A my tak chcieliśmy wierzyć w pańską uczciwość! Badania! Próba znalezienia materiałów do kolejnych kłamstw przeciwko Jądru, które potem krążą po wszystkich planetach Rady.

Kontynuował niemal ze smutkiem.

– Pozostaniecie państwo w swoich pomieszczeniach, dopóki władze imigracyjne nie zorganizują państwa powrotu na Ziemię. I możecie być państwo pewni, że już nigdy więcej nikt z państwa rasy, nie zostanie wpuszczony do Jądra, dzięki podobnemu spiskowi.

Ale w twarzy jego żony, nie było nawet śladu smutku. Spoglądała na nich z zimną nienawiścią:

– Od razu ci mówiłam, że nie powinniśmy pozwalać im na przybycie!
Cameron zerwał się na nogi w zdumionym proteście.

– Ależ zapewniam państwa, że nigdy nie mieliśmy zamiarów... – zaczął mówić.

I wtedy nagle przerwał. Kiedy tak stali tam dookoła, z oczyma utkwionymi w zgorzkniałych twarzach, wszystko zrozumiał, w jednym rozbłysku niewiarygodnej jasności. Wiedział już, że mit nie był żadnym mitem. To była twarda, chociaż trudna do uwierzenia rzeczywistość. Idsowie naprawdę *oswoili* Markowian.

W tej chwili grozy, zastanawiał się, czy została jeszcze jakaś inna niezniszczona delikatna porcelanowa waza, którą mogłyby roztrzaskać jego niezdarne paluchy. Paluchy głupiego szperacza w sekretach obcej cywilizacji, który naprawdę kompletnie nie miał pojęcia o profesji, do której rościł sobie aspiracje.

V

Jakby na jakiś niewidoczny sygnał, z pomieszczenia dla służby, znajdującego się po ich lewej ręce, wyszedł Sal Karone.

– Odwiedzający nas państwo, nie są już naszymi gośćmi – ostro oznajmił Marthasa, z oskarżycielskim spojrzeniem nieustannie utkwionym w Camerona. – Pozostaną w swoich pokojach, do czasu deportacji.

– Ufam, że nie będzie potrzeby użycia siły – zwrócił się bezpośrednio do Camerona.

– Oczywiście, że nie. Ale nie dał mi pan wyjaśnić... nie pozwoli pan nawet na przeprosiny za złamanie tabu, którego po prostu nie zrozumieliśmy?

– Czy nie jest tabu między cywilizowanymi ludźmi, włączając również i pańską rasę, wymyślanie i rozsiewanie kłamstw, o tych, którzy życzą komuś jedynie dobrze?

Dalsza dyskusja była bez sensu, jak widział Cameron. Odwrócił się do tyłu, biorąc Joyce pod ramię, i pozwolił aby Sal Karone odprowadził ich do pokoi. Kiedy przystanęli przy drzwiach, Ids przemówił, z pozbawioną wyrazu twarzą.

– Żle się stało, Cameronie Wilder. Lepiej byłoby, gdyby wziął pan pod uwagę moje ostrzeżenie.

Odwrócił się i zrobił krok do tyłu, zamykając za nimi drzwi na klucz.

Joyce opadła na łóżko, zupełnie przygnębiona.

– No to władowaliśmy się w niezłą kabałę, jeżeli zostaniemy uznani za persona non grata, zanim jeszcze na dobre rozpoczęliśmy prace! W domu, nie zapomną nam tego do końca życia, za każdym razem kiedy tylko, gdzieś w kręgach profesjonalnych, ktoś wspomni Studium Metamorfozy Jądra Markowiańskiego!

– Nie znęcaj się nade mną – odparł Cameron, na wpół gniewnie. – A skąd ja niby miałem wiedzieć, że istnieje tu takie bezwzględne tabu? Dla Markowian to, że Idsowie patrzą na nich jako na udomowionych, nie może być żadną niespodzianką. Nie mogłem przewidzieć, że wyciągną noże z kieszeni, tylko dlatego, że o tym *wspomniałem*.

– Ja wiem tylko tyle, że teraz to już jesteśmy skończeni. Co zrobimy, kiedy wrócimy do domu?

Cameron stał odwrócony do niej plecami, wyglądając przez okno na znajdujący się za nim ogród.

– Ja, wcale tak nie myślę – odparł. – Czy nie widzisz, że my wcale nie przegraliśmy? Niemal to już mamy -- to, po co tutaj przylecieliśmy. *Wiemy*, dlaczego Markowianie nagle stali się dobrymi Indianami. Idsowie

rzeczywiście ich oswoili. Musimy tylko dowiedzieć się jeszcze, jak, taka pozornie niemożliwa do realizacji rzecz, mogła zostać przeprowadzona.

– Czy naprawdę sądzisz, że to stało się właśnie w ten sposób? – spytała go Joyce.

Cameron skinął głową.

– To jedyna możliwość, jaka wchodzi w grę. Gdyby to nie była prawda, Marthasa i jego żona, uśmialiby się po pachy, z całego tego pomysłu, jako z oczywistego nonsensu. To, że oboje byli tacy rozgniewani i od razu zaczęli mówić o deportacji, za przygotowywanie oszczerstw, jest najlepszym dowodem, jaki można było zdobyć, na to że trafiliśmy prosto w dziesiątkę. Nie pytaj mnie w jaki sposób Idsowie mogli to zrobić. To właśnie jest coś, czego jeszcze muszę się dowiedzieć.

– Jak?

– Nie wiem.

Miał jednak pewien pomysł na to. Gdyby jakoś udało mu się przesłać wiadomość do starego przywódcy Idsów, to być może coś by to pomogło. Zdawał sobie sprawę z tego, że próbuje uwierzyć w rzeczy, w które chciałby wierzyć, a jednak wydawało mu się, że była to jedna z najważniejszych rzeczy, jakie Venor próbował mu przekazać dzisiaj rano, ale umknęła, nie do końca dopowiedziana.

Jedyną możliwością nawiązania kontaktu, był Sal Karone. Była to bardzo słaba szansa, pomyślał sobie Cameron, w świetle związku między Markowianinem i jego *sargh*. Tym niemniej, była to ostatnia szansa, tak więc warto było tego spróbować.

W miarę jak wieczór robił się coraz ciemniejszy, wyglądało jednak, że nie będą mieli nawet tej szansy. Cameron nieustannie wyglądał przez okno, w nadziei zauważenia jakiegoś znaku Sala Karone, gdyby Ids się pojawił. Miał też nadzieję, że może przyjdzie on do nich do pokoju, aby sprawdzić ich ewentualne potrzeby na noc, tak jak to zwykle robił.

Ale nie pojawił się.

Cameron w końcu położył się do łóżka, długo po tym kiedy Joyce już zasnęła. Przewracał się niespokojnie, bijąc się z myślami, z narastającym zdziwieniem dręcząc swój umysł, pytaniem jak mogło być możliwe coś tak zupełnie niewiarygodnego jak fakt, że to Idealiści byli prawdziwymi panami Jądra. Że w jakiś sposób oswoili oni morderczych markowiańskich piratów. Nie mógł przecież spodziewać się, że coś takiego w ogóle było możliwe!

Natomiast jedną z rzeczy, które obecnie był w stanie zrozumieć bez trudu, była niechęć Markowian do przyjmowania gości -- oraz ich pieczołowita straż nad nimi. Marthasa był kimś więcej, niż tylko ich gospodarzem, pomyślał sobie. Był również ich strażnikiem, próbującym powstrzymać Terran przed odkryciem nieprzyjemnej rzeczywistości, związanej z wpływami Idsów. Popełnił błąd, pozwalając im na wizytę u Venora.

O świcie rozległ się odgłos otwierających się drzwi, i Cameron wyskoczył ze swojej garderoby, mając nadzieję, że może to przyszedł Sal Karone. Ale to był Marthasa, ponury i niedostępny.

– Otrzymałem wiadomości, że państwa deportacja, może zostać przeprowadzona jeszcze dzisiaj. Premier Jargla został o wszystkim poinformowany, i wyraził zgodę. Rada również otrzymała informację, i nie zgłasza żadnych sprzeciwów. Proszę aby państwo przygotowali się do wyjazdu, późnym popołudniem.

Zatrzasnął za sobą drzwi. Joyce, w drugim pokoju, odrzuciła kołdrę i usiadła na łóżku.

– Ciekawe, czy oni dzisiaj nie mają zamiaru nas nawet nakarmić?

Cameron nic na to nie odpowiedział. Pośpiesznie skończył się ubierać, i nadal gorączkowo wyglądał jakiegoś śladu obecności Sala Karone.

W końcu rozległo się pukanie do drzwi, i pojawił się Ids, ze śniadaniem na wózku. Cameron odetchnął z ulgą, że to nie był któryś z pozostałych *sargh*, mieszkających w domostwie.

Sal Karone wjechał do środka, zaczął rozkładać jedzenie na stole koło okna, przyglądając się im przez cały czas niewzruszonym wzrokiem. Cameron popatrzył również na niego, oceniając swoje szanse.

– Wasz przywódca, Venor, był wczoraj dla nas bardzo uprzejmy – w końcu cicho powiedział. – Najbardziej żal nam naszego wyjazdu, ponieważ nie będziemy w stanie dokończyć rozmowy z nim.

Sal Karone przerwał swoją pracę.

– A czy są jeszcze jakieś rzeczy, które chciałby mu pan przekazać? – spytał.

– Nie... ale myślę, że są pewne rzeczy, które Venor chciałby przekazać nam. Słyszał go pan przecież. Chciał, żebyśmy się z nim jeszcze spotkali. Czy to absolutnie niemożliwe, abyśmy zobaczyli się z nim przed naszym wylotem?

Sal Karone wyprostował się i odłożył utensylia na stół.

– Nie, to nie jest niemożliwe. Otrzymałem instrukcje, aby sprowadzić państwa z powrotem do wioski, jeżeli wyrazicie państwo takie życzenie.

Cameron poczuł w duszy napływ gorącego podekscytowania.

– Kiedy? Nasza deportacja jest zaplanowana na dzisiaj. W jaki sposób moglibyśmy się tam dostać? Jak moglibyśmy wymknąć się Marthasie i Markowianom?

– Proszę stać spokojnie – oznajmił Sal Karone, z tym samym poczuciem siły i władzy w głosie, które Cameron słyszał już kiedyś przed wejściem na pokład statku kosmicznego. – A teraz – dodał, – proszę zamknąć oczy.

Poculi nagły, skręcający ich obrót, tak jakby dwie twarde powierzchnie uderzyły ich z przodu i z tyłu, a trzecia siła szarpnęła ich z boku.

Kiedy otworzyli oczy, stali w drewnianym domu Venora, w wiosce Idealistów.

- Jesteśmy winni państwu przeprosiny – przywitał ich Venor. – Mamy nadzieję, że nic się państwu nie stało.

Cameron rozglądał się wokół siebie, zdezorientowany. Joyce chwyciła go za rękę.

- W jaki sposób, my... – zająknął się Cameron.

- Wydaje mi się, że najlepiej pasującym terminem w waszym języku, będzie w tym przypadku, teleportacja – wyjaśnił Venor. – Państwa przybycie tutaj, bez żadnych dalszych opóźnień, było dosyć pilną sprawą, tak więc zdecydowaliśmy się na jej użycie. Nic innego nie mogliśmy zrobić, w obliczu działań podjętych przez Marthasę. Proszę, niech państwo usiądą, jeżeli macie ochotę. Gdybyście chcieli państwo odpocząć, albo coś zjeść, kwatery dla państwa są przygotowane.

- Nasze kwatery...! A więc spodziewał się pan, że tutaj wrócimy. Wiedział pan, że wszystko potoczy się dokładnie tak, jak rzeczywiście się wydarzyło!

- Tak, wiedziałem – spokojnie oznajmił Venor. – Planowałem, że wszystko rozegra się w taki właśnie sposób, już od czasu kiedy dotarły do nas pierwsze wiadomości o państwa wizycie.

- Myślę, że należą się nam pewne wyjaśnienia – w końcu powiedział Cameron. – Wydaje się, że zostaliśmy pionkami w jakiejś grze, o której zupełnie nic nie wiemy.

Dopiero w tej chwili uderzyło go z pełną mocą potwierdzenie przez Venora, istnienia zjawiska teleportacji. Zamknął oczy w chwilowym napływie przerażenia. Nie mógł uwierzyć w to, co się wydarzyło... ale zdawał sobie sprawę z tego, że będzie musiał. Ci Idealiści -- którzy planowali rządzić galaktykami i potrafili poskramiać dzikich Markowian -- czy było cokolwiek, czego oni nie potrafiliby zrobić?

- Nie, w grze – zaprotestował Venor. – Planowaliśmy to, ponieważ chcieliśmy, aby pan zobaczył to, co pan zobaczył. Chcieliśmy, aby człowiek z Ziemi dowiedział się, co zrobiliśmy.

- Ale czy Markowianie nie rozumieją absurdalności deportowania nas, tylko dlatego że natknęliśmy się na związek istniejący pomiędzy wami i nimi? A jeżeli to wy ich kontrolujecie, to w jaki sposób mogli oni wydać taki nakaz... chyba, że chcecie aby to zrobili?

- Nasze powiązania są bardziej złożone, niż pan sugeruje. Są różne poziomy kontroli. My działamy na tym, który sprowadził pana tutaj...

Pozwolił Cameronowi na zastanowienie się nad implikacjami niedopowiedzianego stwierdzenia. Po chwili zaczął mówić dalej.

- Aby zrozumieć powody Markowian, dla zarządzenia waszej deportacji, weźmy pod uwagę przykład ludzi na Ziemi, osuwających wilki i zmieniających je w wierne, lojalne psy, którym mogli zaufać. Psy, które na zawsze utraciły świadomość, że ich przodkowie byli dzikimi rabusiami, gotowymi kąsać i rozrywać ciało każdego człowieka, czy zwierzęcia, napotkanego na swojej drodze. Zastanówmy się dokładniej nad psami, odległymi od krwiożerczych wilków, będących ich przodkami, tylko o jedno lub dwa pokolenia. Stare pragnienia, jeszcze nie całkiem w nich umarły, a jednak pożyły one sympatii i ufności człowieka. Czy mógłby pan

przypominać im, jaka kiedyś była ich rasa, bez wzbudzania w nich cierpienia?

Znowu zawiesił na chwilę głos. Potem kontynuował:

– Tak samo jest w tej chwili z Markowianami. Są oni pokojowi i twórczy, ale dzieli ich zaledwie kilka pokoleń od piratów, którzy nie nadawali się do zasiadania w Radzie cywilizowanych istot. Nie mają odpowiedniej tradycji kulturowej i cywilizacyjnej, która mogłaby stanowić dla nich fundament i oparcie. Pozwolenie im na poznanie historii, jaka naprawdę leży za nimi, spowodowałoby, że tak to określe, wykopnięcie im spod nóg całej podstawy. Obecnie nie są w stanie traktować ludzi którzy o tym przypominają, jako swoich przyjaciół. Nie potrafią znieść tej wiedzy, nawet między sobą.

– A więc, miałem rację! – zawołał Cameron. – Ich fałszywa historia, została przygotowana, aby oszukać w równym stopniu ich samych, jak i obcych.

– Tak. Psy też chciałyby zniszczyć wszelkie dowody swojego wilczego dziedzictwa. To był ogromny projekt, ale ludzie z Jądra, mieli na jego realizację dużo czasu. Wymyślili spójną wersję historii, która pomija wszystkie dowody ich drapieżnego pochodzenia. Elementy rzeczywistości, możliwe do przyjęcia, zostały zachowane. Luki między nimi, wypełnione zostały przez fikcyjne opisy wspaniałych przedsięwzięć i odkryć. Większość nauki Markowian, została przejęta od innych cywilizacji, ale teraz ich historię wypełniają bohaterowie i odkrywcy, którzy nigdy nie istnieli, ale byli odpowiedzialni za całą wielką naukę, jaką się cieszą obecnie.

– Ale na takim zgniłym fundamencie samooszukiwania się, nie da się zbudować niczego stabilnego! – zaprotestował Cameron.

– On nie jest zgniły... a przynajmniej nie w chwili obecnej – odparł Venor. – Nadejdą czasy, kiedy dojdzie także i do tego. Kiedy zostanie on odrzucony i przy pomocy ogromnego wysiłku nauki i szkolnictwa, wyekstrahuje się elementy prawdy i odnajdzie to, co zostało usunięte. Ale zrobią to sami Markowianie... te ich pokolenia, które będą już w stanie śmiać się z obaw i fantazji swoich przodków.

– To nadal nic nam nie mówi o tym, w jaki sposób byliście w stanie stworzyć twórczych ludzi z rasy pirackich rabusiów – zauważył Cameron.

– Dałem panu już klucz do tego – powiedział Venor. – Został wykorzystany dawno temu, przez pańskich własnych rodaków, zanim nie popadł w niepamięć. W jaki sposób oswojony został dziki wilk, stając się lojalnym, przyjacielskim psem? Czy pradawni ludzie próbowali eksterminować wilki, które podchodziły pod ich jaskinie, i uprowadzały ich dzieci? Być może, nawet i próbowali. Ale wkrótce wymyślili, niewykluczone że przypadkiem, inny sposób podboju. Znaleźli wilcze szczenięta i odkryli, że trzeba je kochać. Zabrali szczeniaki do domu i czule się nimi opiekowali, a ich własne dzieci bawiły się z nimi, karmiły je i kochały.

Wzruszył ramionami.

– Wymagało to oczywiście czasu, ale w końcu nie było już dzikich wilków, które mogłyby sprawiać kłopoty ludziom, ponieważ posiadali oni wielkiego przyjaciela, psa. A człowiek i pies, potrafili poradzić sobie z wilkiem, bez trudu. Pies z czasem zapomniał, kim byli jego przodkowie, i z

ochotą bronił ludzi przeciwko swojemu własnemu gatunkowi -- ponieważ ludzie go kochali. To wydarzyło się jeszcze raz, potem kolejny. Ludzie z kultur rolniczych nienawidzili dzikich koni, które zjadały ich zboże i tratowały ich pola. Ale po pewnym czasie, również nauczyli się je kochać. I znów -- dzikich koni już nie ma.

- Ale nie możecie przecież wziąć drapieżnych, dzikich piratów, i miłością doprowadzić ich do stanu przyzwoitości! - zaprotestował Cameron.

- Nie - zgodził się z nim Venor. - Na tym poziomie, jest to zazwyczaj zbyt trudne i byłaby to tylko strata czasu i zasobów. Ale ja przecież nie powiedziałem, że to się odbyło w taki sposób. Nie można oswoić wilka, kochając go, ale jego szczeniaki -- tak. A nawet piraci mają dzieci, które tęsknią za miłością. Pierwszą bronią istot myślących, była nienawiść. Ale po odkryciu, że jest ona nieskuteczna, odkryły one inne, bardziej skuteczne ewolucyjnie uczucie. Pod względem swojej mocy destrukcyjnej, jest ono czystym barbarzyństwem, tysiące razy bardziej efektywnym, niż unicestwienie wroga.

Venor popatrzył na niego znacząco.

- Można by pomyśleć, że stwierdzenie „Kochaj swoich wrogów” jest delikatną, łagodną, bezradną doktryną! Tak naprawdę, oznacza ono zamiast zwykłego zabicia wroga, wywrócenie jego osobowości na nice, zniszczenie jego tożsamości. On będzie nadal żył, ale utraci swoją integralność jako odrębny byt. Wilcze szczenię nigdy nie stanie się dorosłym wilkiem. Stanie się Psem. To nie jest doktryna słabości, ale broń ostatecznej destrukcji. Może ona zostać wykorzystana do zaszczepienia w mózgu wroga każdej pożądanej przez nas orientacji. On robi wtedy wszystko, czego od niego zażądasz -- ponieważ ma twoją miłość.

- **A**le w jaki sposób zastosowaliście to wszystko w przypadku Markowian? - spytała Joyce, niemal szeptem.

- To był jeden z najtrudniejszych programów, które kiedykolwiek podjęliśmy - przyznał Venor. - Było nas stosunkowo niewiele, w stosunku do olbrzymiej populacji Markowian. Przewidywaliśmy już dawno temu, nawet jeszcze przed organizacją Rady, że sytuacja może nabrznieć do poziomu krytycznego, i stać się niebezpieczna. Do czasu zanim Rada obudziła się, przyjmując do wiadomości oczywiste fakty, i rozpoczęła swoje jałowe debaty, zrobiliśmy już solidny początek. Zorganizowaliśmy to tak, że jedna z planet, na której przeprowadziliśmy odpowiednie przygotowania, znalazła się na drodze markowiańskiego ataku. Markowianie byli tylko jeszcze bardziej zadowoleni, z tego że mogli wziąć nas jako niewolników i wykorzystać jako ofiary w uwielbianych przez siebie, brutalnych igrzyskach sportowych.

- Czy kiedy pozwoliliście, aby was zabijali i torturowali, nie wpędziliście się sami we własną pułapkę? - wykrzyknął Cameron

Venor uśmiechnął się lekko.

– Markowianie tylko tak myśleli. Oczywiście, że nie moglibyśmy sobie na to pozwolić. Nasza liczebność była na tyle niewielka, w stosunku do ich, że nie potrałoby to specjalnie długo. No i oczywiście, byłaby to czysta głupota. Jest bowiem pewien kluczowy czynnik, o którym nie można zapominać: Efektywne użycie uczucia miłości, wymaga absolutnej wyższości, na poziomach osiągalnych przez osobniki podlegające oswojeniu. Tak więc, w tym przypadku, musieliśmy mieć do dyspozycji wystarczająco poważne moce, aby powstrzymać Markowian przed wymordowaniem nas, zanim staniemy się niezdolni do realizacji naszych celów. Oczywiście wykorzystanym w tym punkcie elementem, była teleportacja. Podobnie kontrola psychosomatyczna, dzięki której mogliśmy dać sobie radę z każdą zwyczajną raną, jaką byli w stanie nam zadać. Daliśmy im więc iluzję zabójstw i tortur, ale nasza liczba wcale się nie kurczyła.

– Ale dlaczego w ogóle daliście im taką iluzję? – spytała Joyce. – I mówi pan, że *pozwoliliście* im na zadawanie sobie ran...?

Venor skinął głową.

– Widzi pani, dzięki temu znaleźliśmy się w ich domostwach, w charakterze niewolników, i zostaliśmy przydzieleni do opieki nad ich dziećmi. Wilcze szczenięta same zostały oddane w nasze ręce, abyśmy mogli je pokochać – i dzięki temu oswoić. Ponadto te dzieci Markowian, były świadkami tychże domniemanych tortur i zabijania ludzi, którzy je kochali. To było dla nich olbrzymim wstrząsem psychicznym i przeciągnęło ich uczucia na stronę niewolników. A nawet dorośli Markowianie, z wolna zaczęli się orientować, jaką stratą było dla nich wykorzystywanie do krwawego sportu, tak wysoce wykwalifikowanych i użytecznych służących wykonujących poważne zadania w gospodarstwie domowym i opiece nad ich dziećmi. W ciągu krótkiego czasu, igrzyska i brutalność spontanicznie zanikła. Markowianie, zarówno młodzi jak i starzy, już ich po prostu nie chcieli.

Przerwał na chwilę.

– W okresie dojrzewania pierwszego pokolenia dzieci, którym poświęciliśmy naszą miłość, nasza pozycja stała się znacznie bardziej bezpieczna. Potomstwo Markowian przestało być już wilkami. Zmieniło się w psy, lojalne w stosunku do tych, którzy je kochali, a my teraz mogliśmy wykorzystać je przeciwko ich własnemu gatunkowi. Sugestie aby porzucić piractwo przeciwko innym ludziom, zaczęły się szerzyć po całym Jądrze. W efekcie tego, dzisiaj Markowianie nie są już zagrożeniem, zdolnym do pogrążenia planet Rady w bezradnym strachu. Dawno temu już zaprzestali swoich rabunków. Ich stabilność wewnętrzna wzrasta, i niemal osiągnęła już punkt, w którym będziemy mogli pozostawić ich samych sobie. Nasza praca zaczyna dobiegać końca.

– Ale z pewnością, to wszystko wcale nie było potrzebne! – stwierdziła Joyce. – Przy tej waszej teleportacji, i innych zdolnościach psionicznych, które musicie również posiadać, powinniście bez trudu być w stanie *kontrolować* Markowian w sposób bezpośredni, zmuszając ich do zaprzestania aktów piractwa...

– Oczywiście – odparł Venor. – To byłoby dla nas dużo łatwiejsze. Ale także daremne. Po przejściu przez nas, i sterowaniu z zewnątrz, Markowianie niczego by się nie nauczyli. Pozostaliby zupełnie tacy sami, jak byli przedtem. My zaś pragnęliśmy ich zmienić, uczyć ich, dokonać prawdziwej przemiany ich wnętrza, Ten sposób jest zawsze trudniejszy i trwa dłużej. Jednak, jego wyniki są znacznie bardziej trwałe.

– *Kim* wy jesteście, ludzie! *Czym* wy jesteście! – zawołał Cameron z nagłą mocą. – Korzystacie z teleportacji -- i z jak wielu jeszcze innych nieznanymi mocy psychicznych? Zmusiliście nas, abyśmy uwierzyli, że mogliście oswoić tak dziki świat, jakim kiedyś było Jądro Markowiańskie. Ale gdzie w tym wszystkim jest wasze własne życie? Pomimo całej waszej mocy, musicie żyć na łasce innych cywilizacji. A gdzie jest *wasza* cywilizacja? Jakie są wasze własne cele? Pomimo tego wszystkiego, czym jesteście, wasze życie ma charakter pasożytniczy.

Venor uśmiechnął się łagodnie.

– Czy rodzice dziecka -- albo jego nauczyciele -- nie są jego służącymi? – spytał spokojnie. – Czyż nie dzieje się tak zawsze, jeżeli jakiś gatunek ma zająć bardzo daleko na ścieżce podboju Wszechświata? Ale to przecież wcale nie znaczy, że rodzice lub nauczyciele, nie mają swojego własnego życia. Pyta pan, gdzie jest nasza cywilizacja? *Nasza* jest cywilizacja wszystkich planet. Nie posiadamy wielkich miast, ani potężnych flot. Budują je dla nas wilcze szczenięta. Przewożą nas przez kosmos i dają nam schronienie w swoich miastach. Nasza energia wydatkowana jest na tysiąc innych, i to znacznie bardziej wartościowych sposobów. Znaleźliśmy i nauczyliśmy się szeregu tajemnic życia i umysłu. Przy ich pomocy, potrafimy się przemieszczać, tak jak pan został przeniesiony, jeżeli tylko mamy na to ochotę. A miejsca, gdzie siedzę teraz, mogę rozmawiać z każdym przedstawicielem naszego gatunku, zarówno na tej planecie, jak i na każdej planecie w całym Jądrze. A kilku z nas, jednocząc swoje wysiłki, może osiągnąć tych, którzy mieszkają w odległych galaktykach.

Po chwili, Venor dokończył:

– I jakie jeszcze to niby zdobycze cywilizacyjne mielibyśmy pozyskać, których dotychczas nie posiadamy?

Nic nie odpowiadając, Cameron wstał i powoli podszedł do okna, stając plecami do wnętrza pomieszczenia. Wyglądał na dwór, na proste drewniane chaty i wznoszące się za nimi leśne drzewa. Próbował przekonać sam siebie, że to wszystko, co przed chwilą usłyszał, jest tylko kłamstwem. Takie rzeczy nie mogły się przecież wydarzyć. Ale teraz to wyczuwał, z coraz bardziej narastającą siłą, tak jakby działanie jego wszystkich zmysłów nagle przyśpieszyło i wyostrzyło się -- łagodną aurę, trudny do zdefiniowania potok mocy, który zdawał się otaczać ze wszystkich stron krawędzie jego umysłu.

Kątem oka widział twarz Joyce, niemalże promienną, tak jakby tutaj, w obecności Idsów, ona również wyczuwała tę siłę.

Miłość, jako prawdziwa siła, głoszona była przez każdego terrańskiego filozofa na Ziemi, którego nauki niosły jakieś wartości społeczne. Ale nigdy tak naprawdę nie została ona wypróbowana w praktyce. A przynajmniej nie w sposób, w jaki rozumieli ją Idsowie. Cameron czuł, że może jedynie się domyślać straszliwej dyscypliny umysłowej, która niezbędna była do wykorzystania jej, tak jak to robili oni. Analogia z wilczymi szczeniętami, była generalnie bardzo dobra, i ludzie odkryli jak dotrzeć do tego punktu. Jest jednak pewna różnica, jeżeli chodzi o twój własny gatunek, pomyślał sobie z ironią.

Być może powodem tego, że ludzie nieustannie wymachiwali nienawiścią, najbardziej prymitywną ze wszystkich dostępnych im broni, był zwykły lęk przed wszystkimi innymi

Nienawidzić jest po prostu łatwo, myślał dalej. Miłość jest trudna, a ponieważ taka jest, to ludzie twardzi, którzy nie potrafili jej osiągnąć i nie posiadali wystarczająco dużo cierpliwości, aby nią manipulować, musieli nią wzgardzić. Z kolei ci naprawdę słabi, nie byli zdolni do surowej i brutalnej samodyscypliny, wymaganej od kogoś, kto ma kochać swojego wroga.

Ale ludzie kiedyś wiedzieli jak ją wykorzystywać. Dawno temu, w przeszłości, żyjąc jeszcze w jaskiniach, wiedzieli jak ujarzmić wilki i dzikie konie. Gdzie to zostało zagubione?

Przed oczyma ciągle stał mu widok budynków i lasu, z jego wiecznym spokojem. Cóż więcej może być ci potrzebne, kiedy w twoich zaciśniętych dłoniach, spoczywa cały Wszechświat?

Odwrócił się gwałtownie do tyłu.

– Wmanewrowaliście nas w to, abym sam się zdradził przed Marthasą, i jak sam pan powiedział, planowaliście rozegrać to w taki sposób, już od chwili kiedy doszły was pierwsze wieści o naszym przybyciu. Ale nie powiedział mi pan jeszcze, dlaczego. Dlaczego chcieliście, abyśmy się dowiedzieli, co tutaj zrobiliście?

– Musieliście zdobyć dowody od samych Markowian – odparł Venor. – Dlatego właśnie doprowadziłem pana do stanu, w którym mógłby pan skłonić ich do przyznania. Problem, dla rozwiązania którego przyleciał pan tutaj, znalazł w końcu swoje odpowiedzi, nieprawdaż? Czy jest może coś jeszcze, co powstrzymałoby pana przed powrotem na Ziemię i napisaniem znakomitego artykułu na temat tajemnicy Markowian?

– Dobrze pan wie, że jest – powiedział Cameron, odnosząc nagle wrażenie, że Venor śmieje się z niego łagodnie w duchu. – Kto na Ziemi, uwierzyłby w to, co mi pan tutaj powiedział... że garstka łagodnych, pożytecznych Idsów, podbiła potężne Jadro Markowian?

Przerwał, patrząc na Joyce, która zwróciła w jego stronę swoje intensywne spojrzenie.

– Czy to wszystko? – w końcu zapytał Venor.

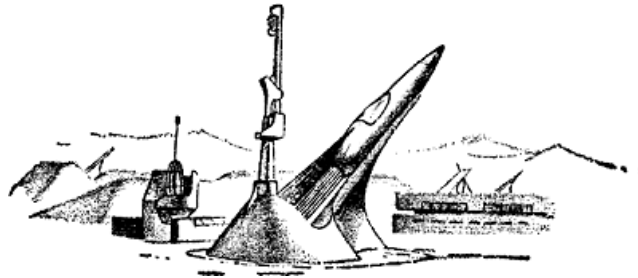
– Nie, to nie wszystko. Po tym jak zabraliście nas na same wyżyny i pokazaliście nam wszystko, co stoi za tą całą sprawą, naprawdę macie zamiar tak po prostu wyrzucić nas stąd, z pustymi rękoma?

– A co chciałby pan, żebyśmy panu dali?

- To - powiedział Cameron, wskazując gestem dookoła, zataczając ręką krąg obejmujący ich wszystkich, oraz wioskę za oknem. - Chcemy tego, co odkryliście. Czy wasz krąg jest zamknięty... czy możecie przyjąć do niego kogoś, kto chciałby się nauczyć waszych metod, a nie należy do waszej rasy?

Uśmiech Venora poszerzył się, kiedy wstał i zrobił krok w ich stronę. Zanim jeszcze otworzył usta i zaczął mówić, poczuli jak z jego umysłu wypływa ciepła fala akceptacji:

- To właśnie dlatego sprowadziliśmy was tutaj i spotkaliśmy się z wami - oznajmił. - Ale to wy sami musieliście poprosić o to dla siebie. Chcielibyśmy, aby ludzie z Ziemi znaleźli się w naszych szeregach. Ruch Idealistów tworzy wiele ras i wiele planet. Właśnie dlatego powiedziałem, że Idsowie nie znają swojej ojczystej planety, z której oryginalnie przybyli. To prawda, nie znamy. Jesteśmy obywatelami Wszechświata. Ale nigdy nie reprezentowali nas rdzenni mieszkańcy Ziemi, która tak bardzo nas potrzebuje. Terranie, czy przyłączycie się do nas?



KONIEC